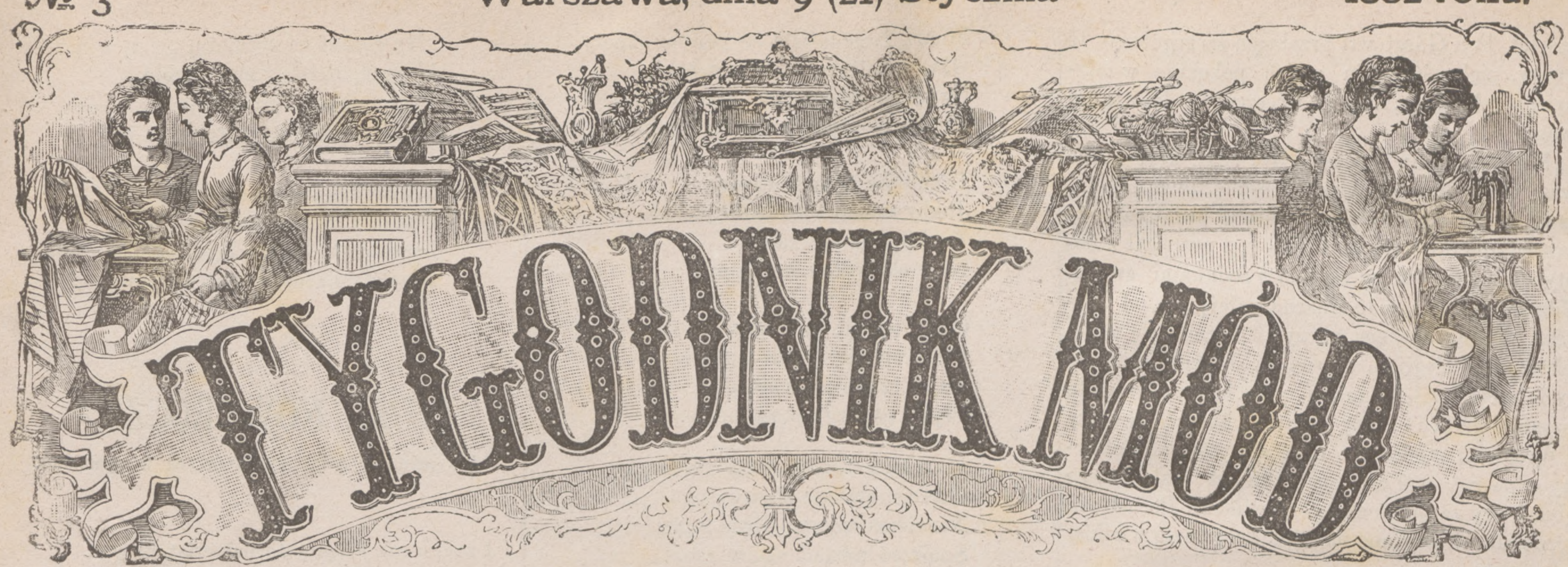
№ 3 Warszawa, dnia 9 (21) Stycznia 1882 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

POETA CZESKI

BOHUSZ FRIDA (JAROSŁAW WRCHLICKI).

Przez

Seweryne Duchińską.

(Dokończenie.)

W innym tonie p. t. *Rok na Tihu* (na południu) poeta zebrał wrażenia z podróży po Włoszech; opiewa tu *drogę przez Alpy i przez Apeniny, Nocleg w klasztorze, Ciszę w górach, Głos morza, Południe.* W ostatnim ustępie znajdujemy wspomnienie Szopena i jego pieśni sennej. Dopełniają zbioru dwie powiastki prozą: *Córka Kimonowa* i *Fletnia* z nadpisem wyjętym z Zygmunta Krasińskiego. Znać wielcy poeci nasi znani już byli czeskiemu poecie. P. Gasztowtt w niektórych utworach dopatruje wyraźny wpływ Mickiewicza. Tę książkę zrodzoną na obczyźnie, zakończa wiersz: *Z wiosną do domu.* Epilog to bardzo charakterystyczny, oznacza bowiem wyraźny zwrot na drogę narodową; — tak kończy go poeta:

Ja mówiłem sercu memu,
Cóż ojczyzna doda tobie?
Może grób da zemdlonemu?
Rzekło serce: kwiat na grobie,
W oku dziewy łzę tajemną,
Gdy me pieśni śpiewa ze mną!

Jakoż następny zbiór, wydany w roku 1879, p. t. *Mythy,* poświęcony już głównie narodowym przedmiotom. Rozpoczyna go poemat *Szarka,* osnuty na bohaterskich podaniach starożytnej Czechii. Następnie legenda o *Prokopie,* dalej poemat fanta styczno-filozoficzny: *Krzyż Bożetiecka.*

Drugi cykl Mythów, wydany w roku 1880, nie ma już tak ściśle narodowego charakteru. Poświęcił go autor polskiemu poecie Asnykowi, z którym łączy go blizkie duchowe pokrewieństwo. W tomie tym znajduje się: *Narodzenie Sakuntali, Śmierć Aschyla, Myth o winie, Pokuta don Żuana* i inne.

Eglogi i pieśni, wydane w tymże roku, a poświęcone młodej małżonce Ludmille, pięknym są upominkiem ślubnym, tyle w nich błogiego spokoju, taka bije z nich woń prawdziwej poezyi.

Wkrótce po Eglogach, wyszedł nowy tom *Doimy a Rozmary* (wrażenia i kaprysy). Tu oprócz mnóstwa ulotnych pieśni, tak lirycznych jak satyrycznych, znajdujemy sonety poświęcone poetom; między temi trzy bliżej nas obchodzące, na cześć Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego. Mickiewicza zowie poeta olbrzymią bryłą granitową, którą Bóg spuścił w głąb' oceanu.

Ta skała twarda, która przetrwa czasy,
Ma czyste złoto w głębi swego łona,
A zna ją żeglarz i sercem ją witu!

Czeski poeta pojął również Zygmunta Krasińskiego: wołą do niego z uniesieniem.

Twojego ducha loty niezmierzone,
Przez życia steczki krwią twoją zroszone,
Tyś wszędzie zrywał nieśmiertelne kwiaty!
Gdyś ty w kolebce dzieckiem leżał we śnie,
Dant pocałował cię w czoło boleśnie,
I dar cierpienia wlał ci w duszę wcześnie!

Juliusz Słowacki silnie wstrząsnął wyobraźnię Wrchlickiego. Wybornie odmalował go w kilku rysach. Przytaczamy sonet w całości:

Sznur muszli, którą przyłożysz do ucha,
Dźwięk, gdy skrzydełkiem konik zaszeleści,
I wschodu wszystkie baśnie i powieści,
Gdzie znikłe roje żyją znów dla ducha.

Gwiazd drżenie, ogień co z wulkanu bucha,
I płacz anioła co się bolem pieści,
Sen błogi, we łzach tonący boleści,
Pieśń stara, której serce tęskno słucha.

Tem wszystkiem dzwoni lutnia twa marząca,
A ukołysan tkliwą jej muzyką,
O! radbym zasnął, wiecznie, nieśmiertelnie!
Lecz iskra w tobie pod popiołem bucha,
Ku niebu nagle strofą tryśnie dziką,
Wzruszy mnie, jakbyś rozpalił popielnię!

W epilogu do tego zbioru, poeta ostro odpowiada krytykom, którzy chcą podciąć mu skrzydła fantazyi i dowolnie kierować ich lotem. „Niech tworzy sam, kto wszędy znajduje usterki!" Te słowa przypomniały nam znany wiersz Bogdana Zaleskiego:

Kto sam bitw nie wygrywał, temu jeszcze wara
Nicować strategiczne pomysły Cezara!

Ostatni nakoniec zbiór, ogłoszony w roku 1881, nosi tytuł: *Nowe Epicke Baśne.* Na szczególną tu uwagę zasługują: ballada skandynawska *Hakon Walkyra;* saksońska—*Włos królowej Elsy;* Polska—*Łza Twardowskiego,* jak niemniej legendy chrześciańskie: *Święta Zofia, Widzenie brata Odona* a szczególniej *Bocian Ś-go Franciszka,* pełen wdzięku i naiwnej prostoty.

Nadzwyczajna twórczość poety czeskiego, jest sama przez się fenomenalnem zjawiskiem. Dwudziesto ośmioletni śpiewak, w dziesięciu tomach wysypał niezliczone kwiaty poezyi, i to w ciągu lat

sześciu! Pan Gasztowtt przebiega szczegółowo te utwory, piękność wielu z nich pokazuje w udatnych przekładach, kończy wreszcie bardzo trafną uwagą:

„Nie zarzucamy poecie, mówi nasz krytyk, że rozszerzył widnokrąg poezyi czeskiej, że za młodu, rozwinął szeroko skrzydła i obleciał świat cały, że zewsząd zbierał farby do obrazów, i powrócił z bogatym plonem, dzieląc się nim z rodakami swymi. Wdzięczność mu za to słuszna należy się od Czechów. Odtąd bowiem poezya ich stanie się mniej sielankową i elegijną, urosną jej skrzydła do szerszych lotów. Ale po małej przechadzce przez te wszystkie gaiki i ogrody poezyi, z których kwiaty p. Wrchlicki sypnął na niwę ojczystą, chcielibyśmy odpocząć pod cieniem jakiegoś rozłożystego dębu, który zasadzić może i powinien. Po małych arcydziełkach powinno nastąpić arcydzieło wielkie, pomnikowe.

Będzież to epopeja, dramat, czy inny, nowego rodzaju poemat? Dotąd tego nie wiemy. Ale synteza jakaś utworzy się koniecznie w duchu poety, a nam się zdaje, że kto jak on, przeszedł przez wszystkie dziedziny duchowe, a z każdej wyniósł tyle skarbów, jest w stanie zbudować właśnie gmach taki, w którymby wszystkie żywioły, o jakich wspomnieliśmy, znalazły swoje miejsce, w którymby palił się ogień święty, Znicz wielki, dla współczesnych i potomnych!"

Obecnie w czeskim przeglądzie *Lumir*, poeta drukuje wielki dramatyczny poemat p. t. *Twardowski*; w pierwszych zeszytach przedstawił urodzenie, lata dziecinne i młodzieńczy wiek czarodzieja. Obraz to pełen fantazyi: rzeczywistość połączona tu z wysokim ideałem. *Łza Twardowskiego*, legenda wydana w ostatnim zbiorze *Baśni*, stanowi jakoby przegrywkę do rozległego poematu. Tę legendę dajemy tu w przekładzie.

„Zkądże smutki twe złowieszcze?
Na dnie czary zbrakłoż wina?
Twa dzieweczka, wczora jeszcze,
Świeżą była jak kalina!

„Wczora wiodłeś w wir szalony
Różnobarwne duchów roje,
Noc ci dała gwiazd miliony,
Morze dało perły swoje!

„Ale żądze zbyt zażarcie,
Rosną w tobie małoż było
Kupy złota kłaść na karcie?
Dzban mieć pełny, dziewę miłą!

„Sam Bóg chyba ci usłuży,
Tyś wyczerpał mą naukę,
Już nie myślę płacić dłużej,
Za twą duszę, lichą sztukę.

„Masz zachcianki widzę nowe,
Jak kapryśne jakieś dziecię!"
Tu Twardowski podniósł głowę,
„Chciałbym latać, rzekł, po świecie."

„Ty chcesz latać! co ja słyszę?
Zadość będzie chęci śmiałej,
W górze chmura się kołysze,
Patrz, to płaszcz mój, czarny cały!

„Dalej za mną, schwyć się płaszcza,
Żartkim pędem, w skok do góry,
Będzie pogoń ta hulaszcza,
Hejże w chmury i w lazury!"

Mistrz Twardowski na płaszcz skoczy,
Okiem zmierzył świat nieznany,
Swym go pasem czart przytroczy,
Płaszcz popłynął wichrem gnany.

Leci, niby kłąb śnieżycy,
Jakby tuman z kwiatów pierza.
Leci pędem błyskawicy,
Niby skrzydło nietoperza.

Coraz wyżej, dalej ziemi,
Przez obszary pędzi mgliste,
Nagle szlaki jaskrawemi,
Błysły gwiazdy promieniste.

„Cóż mi gwiazdy? blask ich ślepi,
Czarcie! niesiesz zbyt wysoko,
Niewidzialny, chciałbym lepiej
Spojrzéć ludziom oko w oko.

„Noc ma straszne tajemnice!"
Tu się skrzywił czart z pogardą.
„Wstyd zrumieni twoje lice!"
„Stój!" Twardowski krzyknie hardo.

Po nad ziemię płaszcz się stoczy,
A ciekawość w mistrzu wzrasta,
Jak w krynicznej wód przezroczy,
Błysło przed nim życie miasta.

Widzi salę — szumią gwary,
Pląsy, gędzby coraz nowe;
Widzi karczmę — pijak stary
O stół senną oparł głowę.

Widzi — złoto garścią całą
Rzuca gracza dłoń szalona;
Widzi matkę tam zgłodniałą,
Na barłogu dziatwa kona!

Widzi hańbę na kobiercach,
Jak podnosi głowę dumnie,
Widzi boleść w młodych sercach,
Co wstyd pragną ukryć w trumnie.

Ale czemu płaszcz się chwieje?
Czyż moc czarta go nie wstrzyma?
„Mistrzu! lice twe blednieje,
Cóż ci stoi przed oczyma?

„Męty ziemskie ciebież wzruszą?"
Wtem Twardowski ryknął wściekle:
„Tenby widok wstrząsł mą duszą,
Choć w najgłębszem, w siódmem piekle!

„Tam bieleje cichy domek,
Dziecię klęczy, rączki składa,
Słyszę, mówi w głos paciorek,
Matka dziecku podpowiada.

„Pomnę moją strzechę niską,
Matko droga! i tyś stała
Nad dziecięcą mą kołyską,
I tyś krzyżem mnie żegnała!

„W drogę czarcie! nie trać chwili!"
„Trudno! woła czart z przestrachem,
Płaszcz się chyli, bardzo chyli,
Nad słomianym owym dachem."

„Dalej czarcie! biada! biada!
Drżę, w mych żyłach krew nie bieży!"
„Próżne trudy, płaszcz upada,
Co śnić było o macierzy!

„My gotowi ze sromotą,
W przepaściste runąć głębie,
Tyś zapłakał, twa łza oto
Patrz, zawisła na obrębie!

„A łzy takiej waga wielka,
Ona losy ludzkie zmieni!"
Dmuchnął, drobna łzy kropelka
Błysła gwiazdą na przestrzeni!

PIEŚŃ NOWOROCZNA.

Przyjaciołom z lat młodzieńczych w upominku.

I znowu rok jeden pożegnał świat stary...
I znowu nam życia ubyło...
Rozpierzchły się bardziej złudzenia i czary.
A kresek na twarzy przybyło...

Lecz niech to nie mąci świetności obchodu...
Szanujmy odwieczne zwyczaje,
Choć serce nie bije jak biło za młodu,
I świat się posępniej wydaje...

Odrzućmy na chwilę te wieku przywary...
Zasiądźmy gromadnie dokoła,
I wznieśmy jak dawniej pieniące puhary:
Niech zabrzmi nam piosnka wesoła!...

Więc puhar o puhar, jak ongi bywało,
Gdy szliśmy pospołu radośnie,
Gdy życie wabiło, i szczęście się śmiało,
A serce tak biło... miłośnie...

Hej! duszkiem wypijmy! wszak jeszcze żyjemy,
Choć wiekiem już nieco styrani...
Wszak jeszcze dążymy i siłę czujemy,
Choć ostrze niedoli wciąż rani...

Wypijmy na chwatę tych światłych i biegłych,
Co prawdy szukają z odwagą;
I na cześć rodaków, co z wyżyn odległych,
Nam świecą talentu powagą...

Niech lekką im będzie pracownia samotna,
I lakką za pięknem tęsknota!...
Szczytniejsza ta praca, niż gnuśność samotna,
A talent cenniejszy od złota...

Puhary do góry! a szczere uczucie
Niech odda co komu należy:
Uczonym szacunek... talentom współczucie...
Niech żywot pomyślnie im bieży!...

Śród wiru zmienności, co z sobą unosi,
Jak pyłek, istnienie człowieka,
Duch ludzki pracuje, buduje i wznosi,
A czynność ta płynie jak rzeka...

Wypijmyż za czystość jej nurtów spienionych...
Niech miną ją wszelkie powodzie,
Niech płynie świetlana śród brzegów zielonych,
A męty osadzi na spodzie!...

Są sprawy nam drogie na niwie ojczystej,
Gdzie światła i ciepła potrzeba
Dla mas, pogrążonych w ciemności wieczystej,
I tylko żyjących... dla chleba...

O pijmyż za rozwój tej sprawy ludowej,
Jak potrzeb świadomi rodacy:
Za postęp rozwagi i pracy zbiorowej,
A czystość sumienia przy pracy!...

By wreszcie, gdy z pola zejdziemy znużeni,
W szeregi minionych pokoleń,
Świeciła nad ludem na całej przestrzeni,
Urocza jutrzenka wyzwoleń...

A tym, co już po nas tu przyjdą z kolei,
Wykończyć tę pracę w pokorze,
By mogliśmy przesłać z pociechą nadziei,
Serdeczne i ciepłe: Szczęść Boże!...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

IL POLACCO.

NOWELLA

przez

Bogumiła Aspisa.

(Dokończenie.)

Ale właśnie! bo chciałem jeszcze ci powiedzieć, *mio Padre!* — przerwał młody wznosząc rękę do czoła i dłonią jej zakrywając zapadłe swoje oczy... Bo to raz... na jednej z tych małych uliczek, których mnóstwo jest u nas nad *Grando Canale*, — ja spostrzegłem leżące na ogromnym stole, przy którym jakoś wtedy nie było nikogo — mnóstwo wielkich i małych, włoskich i francuzkich i różnych innych jeszcze zagranicznych książek.

Przyznam ci się, *Padre*, że po śmierci matki, gdy już tak się zostałem sam, biednym sierotą na tym dużym, szerokim i... niedobrym świecie, i gdy — aby nie umrzeć — zostałem żebrakiem,— że, żebrząc wtedy, wszystkie zbywające grosze, z tych, com sobie od ludzi przechodnich wyprosił, poświęcałem na książki i na farby... Tak, *Padre*!— Przeczytałem też dosyć w ten sposób — i powiem—chyba dziś to powiedzieć mogę *mio Padre*, że z wszystkich, wszystkich może cennych w świecie rzeczy, najłatwiej człowiekowi przychodzi... nauka! matka moja mnie jeszcze czytać nauczyła i — czytać wcale nieźle po polsku — po włosku... Ona, chociaż się nigdy nie kształciła na to, ale powiem ci, *Padre*, była bardzo dobrą... nauczycielką — dla mnie! powiadam — bo zresztą...

Serce matki!... Ona uczyła mnie z sercem!... Widać to coś w nauce znaczy, *mio Padre!*

Chętny więc bardzo taki do czytania książek,— gdym ich teraz zobaczył taką straszną górę, rozłożoną przede mną i — bez żadnej straży,—przystąpiłem do stołu i, patrząc w nie chciwie, zacząłem odczytywać ich różne tytuły. Znałem wówczas już Tassa, Dantego, Boccacia i... innych włoskich mistrzów najlepszych!... Ariosta!...

Rozciekawili oni tak silnie mą duszę—do światła, do wszystkiego, co zwie się tu „wiedzą”, że, ach! byłbym dał nieraz całe życie moje za jedno: gdyby ktoś mi rozwiązał zagadkę — czem jest świat ten? czem słońce? księżyc? nasza ziemia?... jakie to jest i — jak to wszystko w próżni krąży? Jak na złość, druga książka, w którąm wtedy spojrzał, — była... *Padre!*... „Kosmosem” wielkiego Humboldta, tłomaczonym na język włoski — jakby na to! Nie wiem: jak to się stało — bo nawet i wtedy, gdy mnie przed sąd stawiono sędziów, ja nie mogłem zdać sprawy sobie z tego jasnej, — lecz jest prawdą, prawdą, o *mio Padre*, żywą, że tę książkę... (Tu płacz rzewny młodemu przerwał nagle mowę).

Zostałem — tak! — od razu zostałem złodziejem!

Przepraszałem bardzo sędziów, *mio Padre*! — tłomaczyłem postępek swój właścicielowi! — błagałem go o litość... Nic to nie pomogło!

O! źli są, *mio Padre*! źli czasem — ludzie! — — Odsiedziawszy całe pół roku w kozie, — wyszedłem z niej bardzo zbity i złamany. Taką miałem pretensyą do całego świata, że już nawet i żebrać od ludzi nie chciałem! Chciałem umrzeć!... kilka razy tak długo nie jadłem, że myślałem iż śmierć mam już przy sobie blizko! Gdzież tam! widzę że umrzeć jest zarówno trudno... sierocie, jak żyć tutaj!... Głód — głód — *mio Padre*! — ten mnie zmusił, że rękę znowu wyciągnąłem i — żyć znowu — zacząłem, na to... by dziś umrzeć!

Co tam!... Jeżeli ludzie są źli aż na tyle, że nie chcieli uwierzyć w moją chęć do pracy i w to, żem ja żyć nie chciał złodziejem... o *Padre*! — mniejsza o to! ja z nimi pozostać nie pragnę! ja rad jestem, przeciwnie, że od nich uciekam!

— A *donna*-ż twoja — przerwał choremu spowiednik. Ona przecie, za którą aż tu przypłynąłeś!? Mówiłeś mi sam przecie, że ta już zna litość! że ma serce! że ona godzi cię ze światem! Jedna dusza — mój braaie! — i to coś na ziemi! Litość jest darem Bożym cudownym!... Mój synu! — warto żyć, aby skarb ten oglądać najdłużej!

— Przypomniałeś mi, *Padre*, niebo, w którem zajrzał... zajrzałem — tak! — jedyny raz w całem mem życiu!... *Donna* moja! — tak! — ona ma serce!... wszak ona... dwa razy mnie zbawiła od śmierci!... „Adio”!... Cudowny głos!... Zbawiła!... „Povere!” mi rzekła... A tak głośno, że wszyscy, co wkoło mnie stali — i ten, co mnie pchnął w wodę — i inni niedobrzy, którzy śmieli się tylko ze mnie i mnie łżyli, — dowiedzieli się wtedy odrazu, żem ja jest... nic więcej, tylko człowiek bardzo, bardzo — *biedny*!

(Tu młody zakrył ręką twarz i... znów zapłakał. Ksiądz mu tej ulgi serca nie zabraniał wcale.)

...*Mio Padre!* (znów zaczął chory po przestanku) — mam ci jeszcze powierzyć jedną tajemnicę, jedną jeszcze mojego smutnego żywota... bo że smutny, to chyba temu nie zaprzeczysz!

— Nadzieja w Panu! — kapłan rzekł na to — i dodał:

Cóż to takiego jeszcze? Słucham cię, mój synu!

— Oto — ciągnął młodzieniec — jeśliś ty zrozumiał... *mio Padre!* dlaczego kobieta, co pierwsza — okazała mi litość, — wzięła serce moje, — to zrozumiesz i resztę, co ci powiem teraz.

Po kobiecie tej, którą ukochałem wszystkiem, czem tylko rozporządza dla kochania dusza, — ja jeszcze mam tu kogoś na ziemi, któremu... chciałbym miłość okazać... miłość... tak!... i wdzięczność! Jest nim wasz przeor, *Padre*!... Litościwe serce!... On mnie z morza wyciągnął, kiedym raz już tonął... on mnie w dom ten wprowadził święty, *mio Padre!* gdzie dano mi uczciwy zarobek raz pierwszy i — pozwolono *nie kraść*, aby... co chcieć, *czytać* i... czem chcieć duszę wiedzy spragnioną, bogacić! On mnie leczyć tu kazał chorego! tę celę pozwolił mi tu zająć dziś, *Padre*! i ciebie — za spowiednika jeszcze teraz mi nasyłał!... Widzisz Padre!... ja jestem troszeczkę malarzem. Nie wiem sam, zkąd mi Bóg dał tę chęć... Mówię: „Bóg dał!”, bo i dar może pewien do tego posiadam. Kiedym siedział w więzieniu, chwalono obrazy, którem sobie dla żartu malował po ścianie! Od dzieciństwa już miałem do tej sztuki pociąg! największą było dla mnie rozkoszą — malować!... Wyprosiłem tu sobie od jednego pana, by przywiózł mi z Wenecyi za dobre pieniądze, którem już zapracował... farby i paletę, i — co czasu mi stało od zajęć w drukarni, którą macie,—a w której robiłem, co mogłem, — cały czas ten, — zamknięty w święta, w swojej celi, — trawiłem, z pędzlem w ręku, przy swojej staludze. Mówię „swojej”, bom sam ją własnym kunsztem zrobił! Nie tęga!... ale co tam! niechaj będzie równość! Jaki malarz — mistrz jaki — taka i staluga!

„Dam choć to przeorowi”, myślałem malując. „Klasztorowi pamiątkę po sobie zostawię!”... „Chociaż coś od Polaka, w darze — dla Wenecyi!”

I malowałem.

Praca szła mi dosyć sporo...

Od tygodnia skończyłem mój kochany obraz...

Jest on tam — w pierwszej zaraz framudze przedsieni, schowany po za deską, co niszę zasłania.

Mio Padre! gdy umrę, ty weź tę drobnostkę i — daj ją w mem imieniu księdzu przeorowi! Ja nie wiem, czy ta rzecz jest czego warta, Padre... Lecz dar, robiony sercem, weźcie — sercem także!

— Stanie się zadość, synu, wszystkiemu, co mówisz — odrzekł kapłan... I dobrze to świadczy o tobie!

Czy nie masz mi już więcej nic do polecenia?

— Jeszcze jedną rzecz — Padre! — ostatnią! — rzekł chory. I ciągnął:

Czy tu Padre, w tym całym klasztorze... nikt z was nie zna signory owej... mojej donny? Jabym tak chciał z imieniem jej umrzeć, na ustach!...

— Owszem — odrzekł ksiądz na to choremu. Toż właśnie! Ja dlatego przerwałem ci raz spowiedź twoją, — żem usłyszał... Ta donna jest mi tyle znaną, że o niej choć cokolwiek mogę ci powiedzieć.

Jest to podobno niezła w Italii śpiewaczka... Wesołe wiedzie życie podobno... choć nigdy... nie słyszałem nic złego o niej — broń mnie Boże! Ile razy przybywa do Wenecyi, zawsze... odwiedza nasz odludny klasztor, bo podobno... zakochaną jest bardzo w utworach Bajrona i ceni wszystkie po tym poecie pamiątki. Jak wiesz pewno — Lord Bajron tu mieszkał przed laty...

Jej imię: „La Toralla”...

— Co, Padre? Jak, Padre?... zaszeptał chory na to, wznosząc się na łożu.

„La Toralla”? — śpiewaczka? — Padre!?... powtórz słowo! — —

Czy chcesz, bym oszalał? — wrzasnął nagle znowu — —

„La Toralla”...?—poszepnął... Jej wiek... Tak!.. śpiewaczka — —

Boże mój! — krzyknął znowu, biorąc się za skronie...

I... zdaje mi się... Rysy... Raz portret u ojca...

„La Toralla”? — zasyczał... Boże!...

Mio Padre!!...

Potem, gnąc się odrazu w tył z giestem rozpaczy, której już żadne pióro opisać niezdolne, — „Przekleństwo jej!” zawołał... „niech będzie przekleństwo! O Padre!... ona wszystkich nas troje zabiła!...”

To wyrzekłszy—z tą samą siłą, z jaką powstał,

rzucając się napowrów na poduszki łoża, i w ostatnich śmiertelnych konwulsyach bez mocy, raz jeszcze wyszeptawszy imię *donny* —— skonał!

EPILOG.

Zdawałoby się, że ze śmiercią bohatera kończy się zarazem i wszelka opowieść.

Miałożby to miejsce i z naszą opowieścią, gdybyśmy losów biednego *il Polacca* nie wzięli się opisywać w tym właśnie celu, aby dowieść czytelnikom, że śmierć pewnych jednostek, jest często tak straszną zagadką dla żyjących, iż ją to dopiero powinniśmy uważać za przedmiot prawdziwie godny pracy pióra!

Zwiedzaliśmy przed niedawnym czasem salon mieszkania jednego z rodaków naszych zamieszkałych w Paryżu, z którym nas łączą węzły dawnego szkolnego koleżeństwa. Salon ten zawieszonym jest od góry do dołu, wyborową kolekcyą kopii z najlepszych obrazów, pomiędzy któremi znajduje się i parę oryginałów, jakichby mu niejedna mogła pozazdrościć galerya.

Rodak nasz jest zapalonym miłośnikiem malarstwa — uchodzi w kole paryzkiej inteligencyi za wielkiego znawcę utworów pędzla i — jako człowiek bardzo majętny — ma możność dogadzania dilettantizmowi swojemu, w tym kierunku.

Przeglądając po kolei posiadane przez niego skarby — że użyjemy takiego wyrażenia — zatrzymaliśmy się przed jednym obrazem, niewielkiego rozmiaru, który odrazu zainteresował nas bardzo.

Na ciemnem tle ogólnem, przedstawiał on najsamprzód rozkołysane fale wzburzonego morza. Ruch tych fal był bardzo dobrze oddany, jakkolwiek cieniowanie było niedokładnem.

Po nad falami—uniesione nieco, jakby wichrem, w górę, — stało widmo kobiece, owinięte w płaszcz z tumanu, o dziwnie okropnem i groźnem wejrzeniu...

Widmo to, kościstą dłonią wskazywało na człowieka, który u stóp jego, morzem właśnie płynął.

Płynął obrócony ku prawej stronie obrazu, gdzie, na wysepce małej, wyglądającej z wody, a oświetlonej bladym refleksem jakby prześlizgującej po chmurach błyskawicy, — stała inna postać... znowu kobiety — pięknej bardzo — o białej nadzwyczajnie cerze — o czarnych hebanowych połyskujących włosach, i dużych ocienionych gęstą brwią oczach, — która, ramiona wyciągając ku płynącemu, zdawała się wołać go w swoje objęcia!

Przy tej kobiecie stał starzec jakiś siwy — z krzyżem w ręku i w czarnej księżej sutannie... Starzec, kierując krzyż ten ku widmu na morzu, wskazywał mu okiem właśnie na dłoń swoją, zdając się mówić wyraźnemi słowy:

„Nie ty zwyciężysz, a moc tego znaku!"

(Obraz zresztą miał podpis taki u dołu!)

. . . .

Widząc przed sobą pracę niezwyczajnie pomysłową jakkolwiek pędzel, myśli artysty, nie oddał w niej jeszcze z wszelką dokładnością — zwróciłem się do gospodarza domu z zapytaniem: czyjejby ręki ten obraz był produkcyą?

Gospodarz uśmiechnął się na to w odpowiedzi.

— Podoba się?... Prawda, że rzecz wcale ładna?

— Bardzo! — odrzekłem, i powtórzyłem pytanie.

Teraz rodak mój wziął mnie dopiero za rękę, odciągnął w stronę trochę ciemniejszą salonu i, wskazując tam stojącą małą kozetkę, rzekł: „Usiądź no trochę! pogawędzimy!"

Gdy usiadłem, opowiedział mi historyą *il Polacca*, z którą już zapoznaliśmy czytelników.

Doszedłszy do epizodu o śmierci młodzieńca, — zakończył słowa swoje w następny sposób:

„Będąc przed parą laty w Wenecyi, zajrzałem i do klasztoru księży Ormiańskich.

Wchodząc do salonu, po lewej stronie, zostałem uderzony podobnie jak ty teraz, pięknem obrazu, który wisiał na ścianie, nad stołem, gdzie podobno miał pracować Bajron. Spytałem o autora, jak tyś mnie spytał teraz i—co ja ci teraz mówię, mnie tam opowiedziano.

Po śmierci zaraz chłopca, o którego zwłoki upomniał się podobno krewny jakiś (czy nie jego ojciec?) w lat parę potem, i zabrał je z sobą niewiadomo dokąd, — przeor klasztoru, nieżyjący już dziś także, otrzymał spadek, przekazany mu, ustnym testamentem biedaka.

Następca zmarłego przeora, uznając, że dla klasztoru korzystającego często z ofiar dobroczynnych, pożądańszą rzeczą nad obraz, mogą być otrzymane za niego pieniądze, — zgodził mi go się sprzedać, kiedym się dobrze naparł, za sumkę 350 franków, która — zawierzaj mi — nie jest wcale za wielką... Dawnemu przeorowi, malarze z rzemiosła, dawali więcej— —lecz ten nie przyjmował.

Straciliśmy — mojem zdaniem — w osobie chłopca, — wielki talent! A mówią, że geniusze się nie marnują!

Rzecz smutna! ——

Możesz zrobić z tego — niezłą nowelkę! ——"

* * *

Piszący to, ma prawo zapytać się teraz... nietyle o to: czy nowella jego jest taką, jaką chciał ją widzieć posiadacz obrazu? ile czy jest dość *smutną* by wzbudzić w czytelniku, żal, równy stracie, jaką sztuka poniosła, w zgasłym tak marnie autorze — „Morskiej burzy"?

KONIEC.

WYCIECZKA
DO BLAŃSKA, PUNKWY I MACOCHY
w Morawii.

(Dokończenie.)

Prócz tego cośmy wyżej podali, dr. Krzyż stwierdził w czasie tej swojej wyprawy na dno Macochy, istnienie w tej przepaści długiej jaskini, a pod skałami ogromnego zbiornika wody. Lecz dostać się do niego jest niepodobieństwem.

Dno Macochy bardzo nierówne, prócz tej części która jest wodą pokryta, najwyższą zaś jest pagórek już wspominany, który dozwala mniej więcej wytłomaczyć powstanie tej rozpadliny. Musiała być w tem miejscu góra wapienna, pełna jaskiń jakie i teraz jeszcze widzimy i bezustannie wodą podmywane. Wreszcie ruch wody tak osłabił podstawy na których się ta skała utrzymywała, że musiała się zapaść tworząc ową przepaść głęboką, z której szczytu powstał ten główny pagórek będący także utworu wapiennego, resztę wody wypłukały powoli i uniosły.

Na uwagę zasługuje także miejsce mało dotąd znane a jednak godne widzenia: jest to otwór w skale na wschodniej stronie Macochy, nazywają go *Kominem*. Stojąc na mostku można doskonale położenie jego określić, lecz aby dojść do niego trzeba powrócić do miejsca gdzie stała dawniej glorieta i spuścić się na dół wązką ścieżynką nawet mało któremu z przewodników znaną. Sam otwór jest rurkowaty na 7 metrów długi a na 2 do 3 metrów szeroki, głębokość zaś wynosi 32 metry. Kończy się na 53 metry po nad dnem Macochy, a zatem górny otwór znajduje o 85 metry nad nim. Trzema dolnemi otworami *Komina* leci deszczowa woda do przepaści. Przez nie można także rzucać kamienie, które z głośnym łoskotem na dno spadają. Łoskot ten nawet z mostku słyszeć się daje ale kamieni nic się nie widzi.

Cała ta miejscowość niezapomnianą się staje dla każdego kto ją choć raz widział a poezya ludowa jeszcze jej więcej uroku dodaje. Do Macochy bowiem przywiązane jest podanie, które jej nazwę tłomaczy.

Podanie to opiewa:

W wiosce Wilamowicach (do której dotąd Macocha należy) mieszkał przed laty zamożny rolnik z żoną swoją, którą bardzo kochał, lecz śmierć nielitościwa zabrała mu tę drogą małżonkę, zostawiając mu na pociechę pięcioletniego synka. Chcąc jednak gospodarstwo w porządku utrzymać, był zmuszony drugi raz się ożenić; pojął więc za małżonkę wdowę mającą także synka z pierwszego małżeństwa. Była to bardzo zła niewiasta; widząc że chata i cały majątek dostanie się pierworodnemu synowi jej męża, postanowiła zgładzić go ze świata, aby swojemu to dziedzictwo zapewnić. Nie mogąc go jawnie zabić lub otruć, przemyśliwała jakimby sposobem mogła się go pozbyć i piekielny pomysł przyszedł jej do głowy. Pod pozorem zbierania grzybów, które ojciec chłopczyny bardzo lubił, wzięła go z sobą do lasu i tak do niego mile i serdecznie przemawiała, że dziecko nieprzyzwyczajone do takiego postępowania a ujęte niem, wesoło za nią pobiegło. Ale daremnie chodzili po lesie, ani jednego dobrego grzyba znaleźć nie mogli, a tymczasem chmury się zbierały i groźna burza się zapowiadała. Chłopczyna bał się, drżał na całem ciele i prosił macochy, aby już do domu wracali, lecz ona śmiejąc się uspakajała go i szła dalej. Burza się wzmagała, błyskawice przerzynały widnokrąg, na chwilę rozświecając ciemności które las zaległy, a przerażający huk grzmotu wstrząsał drzewami i odbijał się o skały. Chłopczyna płakał, czepiał się spódnicy macochy, błagając aby dłużej nie pozostawać w tym strasznym lesie.

Macocha nie znała litości, biegła dalej ciągnąc za sobą zmordowane dziecię, osłabłe ze strachu i płaczu.

Zatrzymała się wreszcie na szczycie skały. Ręką wskazała chłopczynie aby się zbliżył do brzegu przepaści, nachylił się trochę i zebrał dla ojca grzyby których tam była moc wielka.

Chłopczyna zaciekawiony, postąpił parę kroków, ale na widok ziejącej przepaści cofnął się z krzykiem i rzucił się do kolan macochy, błagając by go nie wysyłała na śmierć niechybną.

Nieludzką tę istotę nie wzruszyły jednak tkliwe prośby dziecięcia. Przybierając uśmiech dobrotliwy, upewniała chłopczyka, że mu się nic nie stanie a dla większej pewności potrzyma go za jedną rękę, podczas gdy drugą grzyby rwać będzie.

Chłopczyna nie opierając się dłużej, przyczołgał się na kolanach na sam brzeg skały i posłuszny rozkazowi, drżącą rączkę po grzyby wyciągnął.

W tejże chwili niegodziwa kobieta trąciła go w przepaść, wołając: „Tam będzie teraz twoja chata, a ta co we wsi, dostanie się memu synowi i nikt na świecie już mu jej nie odbierze!"

Wróciwszy do domu oświadczyła zaniepokojonemu ojcu, że dziecię zabłąkało się w lesie, ale że pewnie samo wkrótce nadejdzie. Słowa te jak mieczem serce jego przeszyły i chciał natychmiast iść do lasu i syna swego szukać, lecz noc już zapadła a burza tak szalała, że niepodobieństwem było puszczać się w drogę. Zdawało się jakby sama natura chciała ludziom tę straszną zbrodnię obwieścić, tak się jej żywioły srożyły i groziły owej pamiętnej nocy. Deszcz lał bezustannie, cała okolica w jedno wielkie jezioro się przemieniła i burza trwała aż do rana. Najstarsi w wiosce podobnej nie pamiętali.

Jak tylko szarzéć zaczęło, wybrał się ojciec szukać zgubione dziecię, cała gromada wieśniaków towarzyszyła jemu.

Przeszukali las cały, przetrzęśli wszystkie krzaki, wołali chłopczynę po imieniu, lecz wszystko napróżno, wreszcie znaleźli się na brzegu przepaści i doszły ich ztamtąd przygłuszone jęki. Przerażeni, spojrzeli w dół i ujrzeli dziecię żywe i zdrowe na gałęzi uczepione. Strącone przez macochę, spadło na gałęzie drzewa rosnącego w rozpadlinie skały na kilkanaście stóp od brzegu przepaści, a trzymając się mocno zbawczych gałązek, przetrwało burzę i teraz wołało słabym głosem o pomoc. Natychmiast kilku wieśniaków spuściło się na linach, wydobyło dziecię z tego strasznego niebezpieczeństwa i złożyło je w ręce uszczęśliwionego ojca.

Gdy się dowiedziano o całem przejściu, oburzenie granic nie miało. Przyciągniętą niegodziwą kobietę na miejsce jej zbrodni i wtrącono ją do tej piekielnej przepaści, którą przeznaczyła za mieszkanie dla pasierba swego.

Odtąd przepaść tę lud *Macochą* zowie.

Przytem opowiadanie dodaje, że zbrodniarka dotąd żyje w tej głębi i w straszny sposób za grzechy swoje pokutuje.

Gdy niebo zewsząd czarnemi chmurami się okryje, a jasność słońca zgaśnie, gdy huk grzmotu się odezwie, a wężykowate błyskawice ciemność przerzynają, groza nad całą okolicą zapanowuje. Pastuszki żegnając się, trzody swe daleko od przepaści odpędzają, drzewa złowrogo szeleszczą, ptaki i zwierzęta w dalszą część lasu uciekają i burza zostaje wszechwładną panią całej miejscowości. To też pioruny raz po raz biją w ściany *Macochy*, a huk ich nigdzie nie jest silniejszym, błyskawice krwawe światło rzucają, gałęzie się łamią, drzewa się gną aż do ziemi, a pomimo tego wszystkiego wydobywa się z przepaści rozpaczliwy głos wołający o pomoc, wicher silniej jeszcze zahuczy, aby nikt wołania pokutnicy nie usłyszał, nikt się nad grzesznicą nie ulitował.

Nawet w głębi swojej przepaści spokoju znaleźć nie może,—gdzie się schroni, wicher drzewa z korzeni wyrywa, na co spojrzy, wszystko się w kamień zamienia, znikąd ratunku, znikąd litości. Pokuta jej tem jest sroższą, że dobroczynną matkę przyrody chciała uczynić wspólniczką swej zbrodni.

KORESPONDENCYA ZE LWOWA.

W Grudniu.

Nasze obawy. — Kwestya żydowska. — *Komitet dla niesienia wsparcia ofiarom* warszawskich wypadków. — Smutne święta. — Nasz teatr. — Odczyty.— Upadek „Tygodnia Polskiego".—*Różowe domino.*— Praca organiczna. — Koleje. — Walne zgromadzenie Związku stowarzyszeń zaliczkowych i gospodarczych.— Wystawa robót kobiecych i przemysłu domowego. — *Rodzina, Spójnia,* gremium kupców i przemysłowców chrześciańskich. — Towarzystwo *oświaty ludowej.*

Straszliwy pożar wiedeńskiego Ringteatru, który bndził obawy o życie krewnych i przyjaciół przebywających w okolicy, a potem równie okropny wypadek w kościele Ś go Krzyża w Warszawie i jeszcze okropniejsze rabunki na ulicach słynnego z tolerancyi i taktu miasta, górują nad wszystkiem co zaszło w minionym miesiącu. Uspokoić się dotąd nie możem. Kto ma choć cokolwiek szlachetnego uczucia i rozsądku, protestuje przeciw takiemu sposobowi rozwiązania kwestyi żydowskiej — a nieszczęściem występuje ona coraz silniej, ostrzej, narzuca się światu i rozdraźnia ludność. Choć wiemy, że rząd tutejszy z całą surowością wystąpiłby w obronie żydów, drżymy z obawy pojawienia się i u nas zamachów na znienawidzoną klasę wyzyskiwaczy, przyczem i niewinni, a nawet szanowani Izraelici ucierpiéć by mogli. Nigdzie bowiem eksploatacya ludności przez bezsumiennych spekulantów nie doszła tak daleko, nigdzie ludność nie została tak zubożona, wyssana, zdemoralizowana, rozpojona, pozbawiona roli, dachu, nigdzie rodzinne węzły nie są tak stargane przez niszczący wpływ szynkarzy żydowskich. Faktem jest, że tam, gdzie szynkarz Polak lub Rusin, wieś jest względnie zamożna, pracowita i utrzymała grunta — gdzie tylko arendarzem jest żyd, jedna trzecia ziemi a nawet i więcej przeszła w ręce żydowskie; — osiedli na gruntach włościańskich żydzi, handlują pokątnie wódką, trudnią się lichwą, rozpajają resztę ludności, mnożą bezdomowy proletaryat, zrozpaczoną klasę, gotową na wszystko, bo wszystko już straciła i nie ma już nic do stracenia. W miastach to samo jest z rzemieślnikiem. Cóż dziwnego, że boimy się, żeby lada iskra nie wywołała zaburzeń. Tylko — u nas na wsiach i w małych miasteczkach na rabunku się nie skończy! i to jest tem straszniejsze. Nadto żydzi mimo tylu nauczek płynących ze wschodu i z zachodu, zachowują postawę prowokującą i zachowują się tak, jak gdyby im zależało na wywołaniu wypadków. Dziennikarstwo nasze i zdrowa część publiczności stara się wpłynąć i na żydów i na chrześciańską ludność w duchu zgodliwym. Więcej nawet, na pierwszą wieść o nieszczęściach warszawskich, utworzył się liczny komitet z przedstawicieli różnych warstw, stanów i wyznań złożony, celem zbierania składek na ofiary grabieży i sieroty po zabitych w kościele Ś-go Krzyża. Rada miejska lwowska uchwaliła wysłanie 500 złr. Instytucye prywatne, arcybiskupi, duchowni i t. d. nadsyłają znaczne jak na Galicyę datki, które niezwłocznie przesłane będą na ręce generała Starynkiewicza.

Cały miesiąc a nawet święta smutno przeszły, nie słychać nawet, żeby gdzie tańczono na Sylwestra. Wogóle nie widać nastroju do zabawy, każdy siedzi cicho w swoim kąciku, skurczony i osmutniały. W teatrze pustki prawdziwe, pomimo, że sale zwiedzały przeróżne komisye, burmistrz, namiestnik i wszystkie władze, że porobiono przejścia, pootwierano drzwi i t. d. i t. d. Jak długo to trwać będzie ten popłoch trudno wiedzieć, tak samo, jak niepodobna przewidzieć, czy p. Miłaszewski zdoła tę kryzys przetrzymać. Dał nam w tym miesiącu tragedyą p. Bol. Berwieńskiego: *Niewolnik*, ale w obec prawdziwych tragedyi ta zblednąć musiała, jakkolwiek ma wielkie zalety. Widzieliśmy następnie parę komedyi francuzkich, dalej nową operetkę *Książę Matuzalem*, wesołą i nawet przyzwoitą, jednak przedstawienia nie pokrywają kosztów. W operze wystąpiła nowa śpiewaczka *Ida de Sass* (lwowianka pani Soroczyńska), która przez dłuższy czas kształciła się we Włoszech i w Paryżu. Zapowiadają przyjazd wielu wirtuozów *kwartetu wiedeńskiego*, który ma stać niezrównanie wyżej niż słynny *kwartet florentynski* i t. d. Bardzo ciekawi jesteśmy, czy zdołają rozpogodzić i rozruszać naszą publiczność.

Kilka odczytów, których szereg dość znaczny urządziło jak co rok *Tow. pedagogiczne*, zaszczyciły panie licznem zebraniem. Dwa pierwsze bardzo ładnie opracowane i z nęcącym tytułem *o Panu Tadeuszu* Mickiewicza, podobały się bardzo i zjednały prelegentowi p. prof. gim. Pruchnickiemu, gorące oklaski. Trzeci *o Drożdżach i drożdżeniu*, zapowiedziany przez docenta uniwersytetu p. Fr. Kamieńskiego, jakkolwiek ciekawy i pięknym językiem wypowiedziany, nie mógł budzić tyle interesu co dwa poprzednie. Nie zdążyliśmy być na nim i nie wiemy, czy nasze panie pospieszyły w równej liczbie jak na rzecz poetyczną!

Książeczki ukazują się zwolna,—pp. Gubrynowicz i Schmidt wydali w *Bibliotece kieszonkowej* (po niezmiernie nizkich cenach, 30 a nawet 20 i 15 cent. tomik) *Konrada Walenroda, Grażynę* i t. d. P. Bartoszewicz, właściciel księgarni rywalizującej z wymienionymi panami, wzbogacił swoją *Bibliotekę Mrówki* kilkoma tomikami Syrokomli, Słowackiego i t. p. Większe rzeczy są dopiero zapowiedziane na początek przyszłego roku. Zato jedyne pismo literackie *Tydzień Polski*, przestało wychodzić z braku prenumeratorów. Jedno na 6,000,000 mieszkańców! Wyszedł natomiast 1-szy numer nowego humorystycznego czasopisma *Różowe domino*. Pierwszy ten numer zawiódł nasze oczekiwania; dowcip bowiem za trywialny. Wątpimy zresztą, czy się utrzyma, bo w naszych cukierniach, restauracyach, piwiarniach i t. d. wolą trzymać: *Kikeriki, Kladeradatscha, Hiegenda Blätter* lub inne pisma niemieckie, niż nasze. Nigdzie za to nie widzi się codziennych albo humorystycznych pism warszawskich. Czemu nasze pisma polityczne na to nie uderzą, dziwić się należy.

Żywot nasz i sprawy ekonomiczne coraz więcej pochłaniają uwagę powszechną. W każdym liście moim notuję tego rodzaju objawy a notuję tem staranniej, że one są dodatnią stroną, jaśniejszą naszej działalności. Im więcej porzucamy szlaki wielkiej polityki, którą się zajmowała większość, owej czczej ruchliwości, hałaśliwej, polegającej na szermowaniu słowem i nadętej frazeologii, im więcej zwracamy oczy na siebie samych, badamy nasze wady moralne i rany materyalne, im więcej krzątać się zaczynamy około interesów naszego ludu, tem większe dajemy dowody dojrzałości. Gdyby to tylko ogół dał się obudzić, nakłonić do tej

mrówczej pracy, do tak sławnej niegdyś w Galicyi z programów *pracy organicznej*, możnaby śmielej w przyszłość poglądać. Musimy wszakże przyznać, iż w różnych sferach i w różnych kierunkach przejawia się poważny zakrój robót. I tak przeparto już i w Izbie panów projekt *kolei podkarpackiej*, którą już wytyczono a która na wiosnę budować się zacznie. Ks. Sapiecha Adam otrzymał koncesyą na linię Jarosław, Rawa, Sokal. Inna gromadka pod przewodnictwem hr. Romana Potockiego stara się o koncesyą na linię Zadwórze, Brzeżony, Podhajec. Agituje się sprawa linii Lwów, Husiatyn. To są wielkie i zdala widoczne kwestye. Mniej hałasu budzącą ale równie ważną sprawą był zjazd delegatów *Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych*. Stanowią one związek kierowany przez wybierany patronat czyli bióro centralne. Na zgromadzeniu poruszono i załatwiono wiele kwestyi wielkiej wagi dla kraju: sprawy kredytu dla stu kilkudziesięciu towarzystw zaliczkowych, zakładania tow. handlu skór, działania przeciw lichwiarskim tow. zaliczkowym (lichwiarze dla ominięcia prawa o lichwie wiążą się niby w dobroczynne stowarzyszenia zaliczkowe), zapewnienia emerytury dla urzędników towarzystw i t. p.

Wystawa robót kobiecych i przemysłu domowego równie doniosłą będzie w skutkach. Towarzystwo *Rodzina* składające się z przemysłowców i rzemieślników a mające na celu pomoc wzajemną, zabezpieczenie chleba na starość lub na wypadek kalectwa, rozszerza się nadzwyczaj szybko po całym kraju, zalicza się do ważnych robót znaczenia ekonomicznego i społecznego; w tymże duchu choć w innem rodzaju pracujące Tow. *Spójnia*, stara się o podniesienie rzemiosł i przemysłu, dalej towarzystwa handlu skór, mające wyzwolić szewców ze szponów lichwiarzy; świeżo założone *Gremium chrześciańskich kupców i przemysłowców*, mające podnieść godność stanu kupieckiego i materyalną mu pomoc zapewnić. Wszystko to dąży do umoralnienia i wydobycia ludności z nędzy i ciemnoty. Dalszym wynikiem tego kierunku jest w przeszłym tygodniu powstałe *Towarzystwo oświaty ludowej* dla Lwowa i okolicy zorganizowane na zgromadzeniu, któremu przewodniczył p. Jan Amborski. Prezesem nowego Towarzystwa obrano p. Lud. Kubalę, przewodniczącego *Koła literackiego*. Istniejący już komitet do wydawania tanich książek ludowych, wystąpił także z pierwszym tomikiem O *Towarzystwach zaliczkowych i lichwie, przez p. Zbrożka*. Te wszystkie roboty pocieszają nas po tych obrazach ruiny, jakie się wszędzie widzieć dają i o których tak często w moich listach wspominam. Cegiełka po cegiełce...

WYSTAWA ROBÓT KOBIECYCH

i wyrobów tkackich przemysłu domowego

WE LWOWIE.

(Dokończenie).

Niemniej zajmującemi były roboty Szkoły stowarzyszenia pracy kobiet we Lwowie: naliczyliśmy do 20 okazów szkoły robót drutowych i około 60 wszelkiego rodzaju wyrobów od szycia zwykłego do koronki i gorsetów. Wszystko prawie odznaczało się dobrem wykonaniem.

Roboty drutowe p. Teodorowicz zwracały uwagę swoją taniością i smakiem—przeważała włóczka użyta do ciepłej odzieży,—kaftanów, spódnic, kamaszy i t. p. Toż samo można powiedzieć o p. Zofii Podoskiej. Cieszyć się należy, że zaczynają u nas zajmować się tego rodzaju wyrobami i zatrzymują grosz w kraju; niewątpliwie wzrost tych robót szybko się zwiększać będzie za czem pójdzie i wzrost produkcyi. Najlepszym dowodem jest fabryka p. Heydenreicha we Lwowie, który wystawił bardzo pięknie wykonane a szczególnej taniości pończochy i skarpetki wełniane, *fil d'Ecosse*, bawełny *écru* i białej. Zaczął on podobno od jednej maszyny, ale że dawał doskonały materyał a przytem zadawalniał się małym zyskiem, dziś ma maszyn kilkadziesiąt a za lat kilka wyrzuci z Galicyi wszystkie zagraniczne wyroby.

Muzeum przemysłowe miejskie wystawiło do 600 okazów, — trzeba powiedzieć, że trochę bez planu: dano bowiem ze dwudziestu okazów dawnych tkanin i haftów, a więc kilka makat, pasów litych i jedwabnych etc. obok wielkiej ilości robót przemysłu domowego, mianowicie hafty włościańskie, kilimki, krajki, weretki (płachty), perewitki, zapaski, pasy, dywaniki, koszule suto haftowane i nawet płótno. Oddział wystawy mianowicie *przemysł domowy* jest najliczniejszą a może najważniejszą jej częścią. Zasługiwałby on na bardzo obszerne badanie i opis, trzebaby na to wszakże pióra więcej upoważnionego, zawiera bowiem wyroby mające wielką przyszłość, gdyby okoliczności sprzyjające działały energicznie na rozwój tego rodzaju przemysłu. Najpiękniejszy zbiór wyrobów włościańskich wystawił Włodzimierz hr. Dzieduszycki. Następnie wyliczymy: *Oddział Czarnohorski Towarzystwa Tatrzańskiego w Kołomyi*, p. Władysław Rieger, Muzeum imienia Dzieduszyckich, Wł. Przybysławski, p. K. Szymanowska p. Ronke, p. Tadeusz Feodorowicz, pani H. Szuchewicz, Stanisław hr. Ddzieduszycki Rozmaitość przedmiotów wystawionych jest ogromna i budzi zajęcie nie tylko ze względów praktycznej natury ale i ze względów etnograficznych. Widzimy tu wyroby włościan *in natura*, naśladowane, ulepszone i zastosowane do użytku klas wyższych, albo też sam wyrób użyty do ozdoby salonów. Kilimki włościańskie (dywaniki) z rozmaitych okolic, w oryginalnych deseniach, odznaczają się wielką trwałością a czasami i gustem; temu przypisać zapewne należy, że je rozchwytano bardzo prędko i to po cenach dość wysokich (25 do 50 złr.) *Werety*, czyli płachty służące do przykrycia łóżka, ławek, do noszenia różnych przedmiotów na targi lub do okrywania się w czasie słoty (2 metry dług. 1½ metra szerokości) są w różnych barwach czasami bardzo gustowne i niezwykłe. Wzięto się u nas do używania ich na portiery i obicia na meble. Do roboty ich włościanie biorą już to wełnę, już to nici. Rańtuchy, ręczniki, krajki (paski) haftowane, końce peremitek wyrabiane przez włościan, służą amatorom za wstawki do obić na fotele. Ciekawe są bardzo *skaterki* (obrusy), *tajstry* (torby) a szczególnej *gerdany*. Są to stroiki na szyję lub na głowę, mające różną długość a od centymetra do trzech szerokości i robione z różnokolorowych drobnych paciorków w najróżniejsze hafty, tkaniny, zapaski, płótna, *foty* (tkaniny wełniane) koszule suto haftowane, kożuszki bogato zdobione, podkolanice męzkie i t. d. i t. d.

Nadzwyczaj się wszystkim podobały pokrycia na meble z tkanin włościańskich białych, których deseń ręcznie odznaczono różnokolorową włóczką. Od gustownego użycia barw zależy piękność roboty, a obicia takie na meble szczególnie są miłe dla oka. Przedziwnej fantazyi, wykwintnego smaku i niepospolitej zręczności dała dowód panna Kalapus; wzięła ona kawałek czarnego kortu z deseniem w kwiaty a raczej we floresy. Nikomu by nie przyszło zużytkować tak artystycznie ten nic nie znaczący szmat kortu. Pod ręką p. Kalapusównej, każdy flores obwiedziony różnobarwną nicią zamienił się w prześliczny kwiatek a czarny korcik w dywanik na stół, w dywanik bogaty wzorzysty, którego fantastyczne szczegóły świecące różnemi kolorami, zlewają się w gustowną i elegancką całość. Ale wróćmy do przemysłu domowego. A mamy do zanotowania ważne rzeczy. Zagraniczne fabrykaty tanie ale liche, wyzyskiwacze żydzi, brak ruchu handlowego, kapitałów i opieki sprawiły, że wysoko niegdyś stojące tkactwo polskie, najzupełniej w Galicyi upadło, a ludność robocza pogrążona jest w jak najstraszniejszej nędzy i żyje w niewoli u lichwiarzy. Tow. przemysłowe lwowskie *Spójnia* podniosło tę sprawę artykułami, memoryałami do Sejmu, który wyznaczył pewną kwotę na podniesienie naszego tkactwa. A oto wystawa dowodzi że tkacze nasi zasługują na poparcie. P. Stanisław Markiewicz ze Lwowa założył tu skład wyrobów tkactwa polskiego i wystawił 106 okazów, które w podziw wprawiły publiczność kupującą zagraniczne lichoty a niewiedzącą, że mamy w miejscu doskonały towar i daleko tańszy. Na razie tylko Andrychów, Błażowa, Korczyn wystąpiły ze swemi produktami: drelichy, czajki, dymki, płótna żaglowe, konopne, lniane, na koszule, na prześcieradła bez szwu, na sienniki, ścierki, serwety, obrusy, serwetki, ręczniki, potem bielizna stołowa kolorowa, biała damaskinowana, chusteczki, po cenach względnie bardzo niskich, uderzały wszystkich trwałością materyi, czystością i dokładnością wyrobu. Przestańmyż raz kupować za granicą, wierzyć w zagranicę. Uwierzmyż raz w siebie i nie dajmy się wyzyskiwać przez obcych. Jeśli chcemy żeby się przemysł, handel, stan ogólny ludności podniósł, żądajmy dobrych wyrobów od naszych przemysłowców, ale je kupujmy. Dobro całego kraju od tego zależy.

Cała ta wystawa dowodzi co moglibyśmy zrobić, do czego jesteśmy zdolni, aby tylko nasz ogół przestał raz hołdować cudzym bogom. Zacna Czytelniczko, jeśli czego będziem potrzebować z tu wymienionych przedmiotów, pisz do Muzeum Przemysłowego we Lwowie, a pewnie zarząd pośrednictwa swego nie odmówi. Wyrób krajowy pewnie cię zadowolni, a obok tego będziesz miała to zadowolnienie, żeś grosza za granicę nie wyrzuciła, ześ się przyczyniła do podniesienia pracy krajowej, a może niejedną łzę otarła i ocaliła niejedną istotę od upadku, od zbrodni i jej następstw. Kupujcie piękne panie, bo to nie tylko dobry dla was interes, zysk dla kraju ale i dobry uczynek!

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Pisma codzienne podają nader pocieszającą wiadomość iż pewien szlachetny ofiarodawca niechcący być wymienionym, złożył Wydziałowi Krajowemu we Lwowie 23,500 rs. w papierach sze-

ścio-procentowych, przeznaczając sumę te na fundusz zakładowy „Macierzy" a odsetki na wydawnictwo dzieł ludowych. Zatem ogólny fundusz wraz z zebranemi przez czcigodnego jubileta 4,000 złr. wynosi obecnie 27,500 rs. Choć obarczony pracą i mocno cierpiący J. I. Kraszewski zamierza przybyć do Lwowa w sprawie „Macierzy" której program ułożony przez „Koło literackie lwowskie" przejrzany został przez niego. Oto główne jego dane:

1. Fundusz „Macierzy" ma być wieczystym i nienaruszalnym.

2. Odsetki obracane będą na wydawnictwo dzieł ludowych.

3. Wprowadzenie w życie i kierunek tej instytucyi pozostawiony jest Kraszewskiemu.

4. Wydział krajowy czuwać będzie nad „Macierzą" która powstanie we Lwowie.

Tak więc, dzięki wytrwałej gorliwości czcigodnego Nestora pisarzy naszych i szlachetnej hojności nieznanego ofiarodawcy, doczekamy się fundacyi mającej tak błogie wydać owoce.

*** Obliczenia ile ziemi przeszło w Poznańskiem w posiadanie Niemców, nader smutne wykazują rezultaty, wynoszą bowiem 89,500 morgów w samym tylko r. 1881. W Prusach zachodnich i na Pomorzu, podają około 9,000 morgów. W tymże roku, z rąk niemieckich przeszło do polskich w W. ks. Poznańskiem 16,438 morgów, a w Prusach zachodnich około, 3,700 morgów, — ubyło więc blizko 80,000 morgów ziemi polskiej, to jest bez porównania więcej niż w latach ubiegłych. Dopiero od r. 1878 zaczęto obliczać ściśle stopniowe usuwanie nam się gruntu z pod nóg. I tak: w 1878 Niemcy nabyli 37, 756 morgów; w 1879 — 7,236 m.; w 1880—8,897; w 1881 —odtrąciwszy co z rąk niemieckich przeszło do polskich—73,142 m. Rok rozpoczęty nie zapowiada się pomyślniej—podobno jedna tylko agentura otrzymała przeszło 140 poleceń sprzedaży dóbr w samem Ks. Poznańskiem, a większość tych dóbr chcą sprzedać Polacy!!!

*** *Słowo* pismo codzienne, wydawane od N. Roku przez p. A. Zaleskiego, pod redakcyą sympatycznego pisarza Hen. Sienkiewicza, w N-rach 6—7 pomieściło w odcinkach list J. I. Kraszewskiego zajmujący jak wszystko co wyjdzie z pod pióra czcigodnego jubilata. List ten poświęcony jest głównie sprawozdaniu z ruchu literackiego w Niemczech. Pomiędzy innemi dziełami, wymienia nader ważne i zajmujące dzieło Edwarda Reich, d-ra medycyny, wice-prezesa Akademii, p. n. *Arbeit und Lebensnoth*, którego przedmiotem jest zaradzenie ubóstwu, niedostatkowi i nędzy społecznej, wyradzającej się z industryalizmu naszych czasów. Dlaczego? pyta Krasz. zabito milczeniem książkę tak ważną i nowe rzucającą poglądy, skoro o broszurkach i kompilacyach bez żadnej wartości pisze się wiele i wspomina wszędzie—i sam odpowiada na to: bo dr. Reich z innego zupełnie stanowiska zapatruje się na społeczeństwo i inaczej określa obowiązki składowych jego części,—bo w pojęciach ekonomicznych różni się całkiem od współczesnych materyałów, a główną myślą jego jest:

„Ludzi się bezmiernie kto sądzi że—szczególniej w państwach gdzie samolubstwo panuje—praca sama może nędzy zaradzić. Sama praca nigdy nędzy nie wytępi; widzimy że kraje najwytrwalszej pracy są zarazem największej nędzy siedliskiem. Tylko miłość bliźniego i rozsądek dopełniające pracę, mogą ją uczynić skuteczną, a niezbędnym czynnikiem jest religia, zaparcia się i ofiary."

Twierdzenie swoje doktor Reich opiera na faktach i studyach, umiejętnie zestawionych fenomenach, jakoteż na głębokiej znajomości, nietylko fizycznego organizmu człowieka, ale jego natury i sił. Autor nie idzie ubitemi tory epoki, różni się w wielu względach i sprzeciwia przyjętym teoryom, nie hołdując samej sile dłoni, uznaję siłę ducha i serca. Plan dzieła jest szerokich rozmiarów, wszystkie jego części opracowane z matematyczną niemal ścisłością, na podstawie liczb i faktów. Po obszernym wstępie następuje dział o pracy i fizyologicznych jej stosunkach; następnie podział pracy, ochota i niechęć do niej, praca umysłowa i ręczna, praca i sposób życia, praca w stosunku do klimatu, do mieszkania, obyczaju, do rozmaitych powołań,—nareszcie próżnowanie i występek oraz moralne stosunki pracy. Dalej mówi autor o nędzy i jej przyczynach, o egoizmie, upadku klasztorów i rzemiosł, o innych powodach nędzy, jej skutkach i środkach zaradczych. — Nie ma prawie zadania (nawet kwestya semitycka i jej następstwa) któreby tu rozpatrzone nie było z całą swobodą przekonania, bez schlebiania przyjętym doktrynom i gonienia za popularnością.

J. I. Kraszewski nader gorąco zaleca to dzieło; pożądanem byłoby aby któreś z pism naszych dało choćby obszerne jego streszczenie.

*** Trzęsienie ziemi, ten gość wcale niepożądany i dotąd prawie nam nieznany, coraz więcej zbliża się do nas; oto szczegóły jakie podaje „Gazeta Lwowska" o trzęsieniu ziemi w Suszczynie pod Mikulińcami. W nocy z 27 na 28 grudnia r. z., o godzinie 2 minut 30 po północy, zostaliśmy przebudzeni silnym łoskotem jakby podziemnego grzmotu a następnie silnem uderzeniem piorunu; detonacya ta odbijała jeszcze parę sekund, jakby echem, drgającym odgłosem metaliczno-grzmotliwym. Szyby w oknach, lampy, szkła drżały i dzwoniły, łóżka, stoły i wszelkie sprzęty zostały silnie wstrząśnięte, drzwi się otwierały. Miało to miejsce we wsiach: Łoszniów, Suszczyn, Ostalce, Skomorochy, Kozówka, Smolanka, Borki, Zaścianki, Dyczków i w. i. W miasteczku Grzymałowie, w bóżnicy żydowskiej spadły od sufitu wraz z hakami dwa duże mosiężne pająki ze świecami; we wsi Ostalcach pospadały na ziemię i potłukły się wszystkie prawie lampki, które włościanie stawiają na półkach. Tamże w pewnej szopie, brona spadające z podwyższenia, zabiła gęś, a jedna starsza chata, tak silnie została wstrząśnięta, że kominek się rozsunęły na dachu i mieszkańcy musieli ją opuścić gdyż grozi zawaleniem.

Uczeni zwrócili uwagę, że od lat kilku trzęsienia wydarzają się coraz częściej, i nawet w miejscowościach gdzie dotąd nie miewały miejsca, według obliczeń statystycznych na całej kuli ziemskiej, przypada w przeciągu dwa trzęsienia na każdy dzień roku. Wiadomo, że przyczyna trzęsienia ziemi nie jest dotąd naukowo stwierdzona, a podawane teorye są tylko hypotezami; otóż obecnie pewien uczony angieski ogłasza swoją nową teoryą. Wiadomo, że przed trzęsieniem ziemi daje się zwykle słyszeć głuchy łoskot, jakby odgłos dalekiego grzmotu lub wozu pędzącego po bruku, a nawet i podczas trzęsienia ziemi często daje się słyszeć jakby odgłos wystrzałów armatnich. Same wstrząśnienia są bardzo charakterystyczne, prędkie, silne, jakby uderzenia kierowane od spodu; — wszystko to, według uczonego Anglika, przedstawia właściwe cechy wyładowań elektrycznych, z tego więc powodu trzęsienia ziemi mogą być uważane za podziemne grzmoty. Na poparcie twierdzeń swoich autor mówi: iż gdyby trzęsienia ziemi były wynikiem rozprężenia roztopionej masy, to jakże wytłomaczyć fakt, że zjawisko to zwykle czuć się daje na powierzchni ziemi, przekonano się bowiem, że w studniach, w głębokich kopalniach, trzęsienia ziemi bywają daleko słabsze, niekiedy nawet prawie uczuć się nie dające, gdy tymczasem na powierzchni objawiają się z wielką gwałtownością. W wybuchach wulkanicznych, pozostających w pewnym związku z trzęsieniami ziemi, dają się dostrzegać objawy elektryczne; po nad wyrzucaną lawą ukazują się chmury, błyskawice przerzynają powietrze. Bywały wypadki, że podczas trzęsienia ziemi, niewiadomo z jakich powodów powstawał pożar w walących się domach. Po wyliczeniu licznych danych przemawiających za jego teoryą, autor jej utrzymuje iż bezmierna ta siła powinnaby być ujarzmiona przez człowieka i zastosowana do przemysłu. A! tyle dziś dokonano odkryć, tyle sił przyrody zużytkowano, iż kto wie, może kiedyś i ta siła trzęsień ziemi, tak straszne dziś powodująca klęski, stanie się pokorną służebnicą przyszłych pokoleń i na ich korzyść i pożytek pracować będzie.

*** Ministeryum wyznań i oświecenia w Wiedniu wydało nader ważne postanowienie, mianowicie: iż dzieci rodziców bezwyznaniowych muszą pobierać naukę religii jaką wyznawali rodzice ich nim zostali bezwyznaniowcami. O rozporządzeniu tem zawiadomione zostały wszystkie dyrekcye naukowe i namiestnictwa w całej Austryi. Przyklasnąć trzeba postanowieniu, które choć w części ochronić może młode pokolenia od zepsucia i wyuzdania.

*** Kwestya oświetlenia plantu kolejowego przed jadącemi pociągami, może być uważaną za rozwiązaną. PP. Siedlaczek i Schubert obmyślili rodzaj lampy elektrycznej, podsycanej za pomocą maszyny parowej, umieszczonej nad kotłem. Lampa ta oświeca tysiąc metrów przestrzeni przed idącą w nocy lokomotywą, światłem jasnem, dorównywającem prawie dziennemu! Wynalazek ten umożebni zatrzymanie pociągu w razie dostrzeżonego niebezpieczeństwa.

*** Na jednem z ostatnich posiedzeń kapituły zakonu Joannitów w Londynie, przyznano srebrny medal „za waleczność" pani Mary Smith, młodej wdowie po kapelmistrzu pułkowym. W bitwie pod Broukhorst (w Transwaalu) pani Smith ratowała rannych żołnierzy wśród najgwałtowniejszej walki, wystawiona na prawdziwy grad kul nieprzyjacielskich. Gdy zbrakło jej przyborów opatrunkowych, darła własne suknie na bandaże do obwiązywania ran wojowników. Następnie przez trzy miesiące dobrowolnie pozostawała w niewoli, aby doglądać i pielęgnować rannych ziomków.

*** Teofil Lenartowicz, którego dwa tomy poezyi wyszły we Lwowie, ma prócz tego przygotowany do druku obraz dramatyczny, przedstawiający ostatnie chwile rzeźbiarza Glifejos-Sofistikos. Oto co pisze rzeźbiarz-poeta o tej pracy swojej:

„Pisałem to z zupełnym spokojem duszy. Pociągnęła mnie prostota i powaga Greków; studyowałem Xenefonta, Platona, Arystofanesa, Hezyoda, urywki Symonidesa, dla nauczenia się jak się u nich obrazy układają. Czytałem Eschinesa i Demostenesa, a jeżlim nic godnego uwagi współziomków nie wysnuł z siebie, przynajmniej nie straciłem czasu, przestając z wielkimi pisarzami. „Glifejos" mój, to idealizm epoki Peryklesa, walczący z pozytywizmem podobnym do dzisiejszego,

a o ktorym z taką prawdą mówi Eurypides w „Cyklopie”.

Podzielmy się z czytelnikami naszymi kilku strofkami jakiemi nasz poeta-rzeźbiarz zakończył list do nas pisany:

Chciałbym płynąć tak daleko,
Tak daleko, tak daleko,
Tam gdzie ludzkie łzy nie cieką
Łzy nie cieką, łzy nie cieką.

Ster obrócić mojej łodzi,
Mojej łodzi, mojej łodzi,
Gdzie jęk ludzki nie dochodzi,
Nie dochodzi, nie dochodzi.

I zapłynąć w taką grotę,
W taką grotę, w taką grotę,
Gdzie są zioła na tęschnotę,
Na tęschnotę, na tęschnotę!

*** O prędkości. Największą prędkość, jaką człowiek wywołać może drogą mechaniczną, jest prędkość wyrzuconej z wielkiego działa kuli, która w pierwszej chwili po wystrzale przebiega 500 metrów w ciągu sekundy. Jednakże prędkość jej biegu, która, mówiąc nawiasem, jest 20 lub 25 razy większą od prędkości najszybszej lokomotywy, w obec prędkości biegu ciał niebieskich, jest niczem. Ziemia przebiega w drodze swej około słońca 30,450, a słońce w swojej podróży po wszechświecie 55,000 metrów w ciągu sekundy. Ziemia dla przebycia swej drogi (28 milionów mil) potrzebuje jednego roku, kula lecąca wciąż z pierwotną bystrością, potrzebowałaby 61 lat, a najszybsza lokomotywa 1,200 lat. Ta zadziwiająca szybkość ciał niebieskich jest znów niczem w obec prędkości światła i elektryczności. Odległość słońca od ziemi stanowi około 20 milionów mil; dla przebycia tej przestrzeni ziemia potrzebowałaby 58 dni, to jest 5,000,000 sekund, słońce 2,323,000 sekund, czyli 31½ dnia; kula działowa 9½ lat; lokomotywa 190 lat; światło zaś potrzebuje do tego tylko 8 a elektryczność 5¼ minuty. Ażeby zajechać na księżyc, potrzebaby jechać 1/3 dni; kula dolecia-łaby do księżyca po 10-u dniach; pieszy zaś człowiek, gdyby dziennie przechodził 50 kilometrów, potrzebowałby prawie 20 lat. Szybkość pociągu kolei żelaznej jest tutaj określona na 90 kilometrów na godzinę. Jestto nadzwyczaj szybka jazda, gdyż tylko na drodze z NewYorku do Filadelfii przejeżdżają pociągi 97 kilom. na godzinę, a najszybsza po niej droga „Londyn-Edynburg”, przebiega już tylko 75 kilom. na godzinę. Jadąc takim pociągiem new-yorckim, możnaby zajechać na księżyć w przeciągu 161 dni. Jazda takimże pociągiem w około świata trwałaby tylko 18 dni, gdy obecnie ziemię co najprędzej można objechać przeciągu 80 dni. Mówiąc o elektryczności, musimy rozróżnić iskrę elektryczną i prąd elektryczny. Ostatni przy praktycznem używaniu posiada mniejszą szybkość niż iskra elektryczna. Szybkość prądu po drucie grubości 4-ch milimetrów wynosi 13,000 mil, a po drucie 2½ milimetr. 24,000 mil na sekundę, gdy tymczasem iskra elektryczna przebiega przez sekundę 62,000 mil. Głos przebiega w powietrzu 332 metry w ciągu sekundy, w wodzie 1,494 metry, w cynku 3,220, w miedzi 3,685, a w stali 4,080 metrów. Gołąb' przelata przez sekundę 30 metrów, orzeł 32, chart lub koń angielski 25 metrów.

*** Projekt ustawy Towarzystwa przyjaciół dzieci, wraz z odnoszącemi się do tejże ustawy objaśnieniami, pomieszczony został w świeżo wydanym „Roczniku towarzystwa osad rolnych”.

*** W Krakowie czynią przygotowania pospieszne do otwarcia sali widowisk w budynku należącym do Wandy ks. Jabłonowskiej, a położonym przy ulicy Wolskiej. Szanowna właścicielka odstąpiła bezinteresownie bydynek.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia balowa z krótką spódnicą. Różowa tiulowa suknia przybrana jest suto wstawkami koronkowemi, atłasowemi plisami i kokardami z wstążki. Stanik atłasowy pokryty koronką, ma plastron tiulowy. We włosach i przy staniku gałązki róż.

Suknia balowa z trenem. Spódnica i draperya składa się z pasów gazy i koronki hiszpańskiej; atłasowy gorsecikowy stanik dopełniony bufowaną bluzką i rękawkami tiulowemi.

Ubranie balowe z atłasu i materyi broszowanej. Na sukni atłasowej z trenem dane z przodu u dołu upięcie z atłasu i materyi deseniowej, powyżej zaś draperya a panier ściśle zaplisowana u góry a do dołu spływająca w bufy. Stanik krótki przemarszczany, przyciśnięty pasem i zakończony w górze bertą. Ubranko z piór i kwiatów.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Auguście M. we wsi Streczyńce. Bieliznę i rubla dla wyjątkowo ubogich odebrano, za co w imieniu obdarzonych serdeczne składamy podziękowanie.

Pani G. M. w Rybczyńcach. Życzenie spełniono. Przyjaciel Dzieci prosi o doniesienie, jakie wzmianka w jego Piśmie wywarła wrażenie na małych czytelnikach.

Pani A. F. w Brażyńsku. Wierszyk: Ostatnia chwila będzie pomieszczony, ale drugiego p. t. Z karty życia, nie odebraliśmy.

Pani Helenie J. we wsi Niegowce. Uwagę, że w czasie obecnym za wielką rolę grają aktorki i błahostki, zupełnie podzielamy. Świat rzeczywiście chyli się ku pogaństwu, jak to w liście powiedziano., ale to tylko ferment chwilowy w którym co złe zmarnieje bez powstanie pod pleśnią materyalizmu, a dobre nieznanym mu dotąd blaskiem zajaśnieje. Nie pierwsza to chwila podobnego upadku w życiu ludzkości, otrząsała się jednak z niego zawsze, i teraz powstanie, bo ciało ducha nie zabije. W sprawie tej z oryginalnemi artykułami Tygodnik nasz często występuje, a obok nich ma już zapas spory innych prac belletrystycznych równie oryginalnych, które z kolei drukować będzie. Za osnowę całego listu niewymownie jesteśmy wdzięczni.

Panu Wł. E. w Jefremowie. Uwagę zrobiono w Przyjacielu Dzieci, a jaki skutek odniesie prosimy o wiadomość. Od prenumeraty pozostało kop. 25 i takowe doręczono biednej rodzinie pomocy potrzebującej.

P. Janowi W. w Łodzi Za nadesłaną korespondencyą Redaktor wielce jest obowiązany.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 5 Января 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

TO BYŁO OBŁĄKANIE.

PRZEZ

HENRYKA CAUVAIN.

(Dalszy ciąg.)

„Prezydujący daje głos panu Rousseau, obrońcy obwinionego.

„Publiczność zwraca z ciekawością oczy na młodego obrońcę. Wiadomo wszystkim że rokują mu najświetniejsze miejsce wśród obrońców miejscowych, że posiada rzadki dar wymowy i wiele zapału, a jego zachowanie się wciągu sprawy każe wnosić że obrona jego będzie gwałtowną. Utrzymują powszechnie że jest przekonanym o niewinności klienta, i będzie się starał przelać to przekonanie w przysięgłych.

„Pan Rousseau powstaje i głosem czystym i silnym zbija po kolei twierdzenia prokuratora.

„Nie ma zamiaru odpowiadać na teorye odnoszące się do oświaty ludu, jakie szanowny prokurator uznał za właściwe, wygłosić tu przed chwilą; według niego nie ma to najmniejszej styczności ze sprawą. Gdyby Torquenié nic nie umiał, znalazłby się z pewnością jakiś prokurator, starający się wykazać że to brak oświaty zaprowadził go na ławę oskarżonych. Następnie stara się udowodnić że Torquenié nie posiadał nigdy charakteru posępnego i dzikiego jaki mu przypisują.

„Czyta list od nauczyciela który uczył syna zmarłego hrabiego de Trémeillan i syna byłego leśniczego. Wyraża się w nim bardzo pochlebnie o charakterze obwinionego, o jego zdolnościach i łagodności.

„Niektórzy świadkowie utrzymują że Torquenié miał charakter gwałtowny, cierpki, że brak mu było serca, obrońca zaś jego prosi prokuratora aby kazał sobie pokazać rejestr spraw, a przekona się z niego że wszyscy ci świadkowie byli karani za kradzieże w lasach, na mocy oskarżenia wniesionego przez Jana Torquenié, któremu obowiązek nakazywał podobną surowość.

„Powiadają wam, panowie, że ma serce twarde, nieczułe, mówił dalej młody adwokat, czemuż nie mogę dać wam dokładnego wyobrażenia o tem uczuciu, w które wlał najlepszą cząstkę swej duszy? Czemuż nie mogę przeczytać wam wszystkich listów, które pisywał do swej ukochanej Maryanny? Poznalibyście wtenczas lepiej człowieka, który dziś stanął przed wami.

„Czas także położyć koniec wstrętnej legendzie przeistaczającej zupełnie charakter Maryanny, i ściągającej na nią hańbiące podejrzenia. Podnosząc tu głos w jej obronie, spełniam najgorętsze życzenie obwinionego. Jeźli widzicie go tak zrozpaczonego, tak przygnębionego na tej ławie na którą rzucił go los wrogi i niesprawiedliwy, jeźli widzicie twarz jego zalaną łzami, słyszycie łkania wydobywające się z jego piersi, nie sądźcie że te oznaki rozpaczy są dowodem słabości duszy, obawy o siebie... Nie! Jan Torquenié dla siebie niczego się nie obawia...

„Skoro uwiadomiłem go że chcę być jego obrońcą, gdyż sam dobrowolnie podjąłem się tej obrony, odmówił w pierwszej chwili: „Nie, rzekł, czuję to że nie ma już dla mnie nadziei, jakiś potężny wróg uwziął się aby mnie zgubić... Jestem zgubiony!” Wkrótce jednak zawołał z żywością: „Przyjmuję, panie, przyjmuję; przemów do sędziów, ale nie za mną, pozostaw mnie już memu nieszczęsnemu losowi. Przemów do nich za Maryanną; powiedz im że to co o niej mówią, jest podłem oszczerstwem; powiedz że mnie kochała i że ja ubóstwiałem ją, a jeźli teraz tak obojętny jestem na to co mnie może spotkać, to dla tego że życie będzie już dla mnie ciągłą męczarnią, bo tracąc Maryannę, już na zawsze utraciłem szczęście...” Przed chwilą jeszcze, gdy powstałem, nieszczęśliwy szepnął mi ze łzami: „Broń jej pan, oczyść jej pamięć!”

„A więc tak, będę bronił nieszczęsnej spotwarzonej ofiary, i dla tego błagam was, panowie, zapomnijcie na chwilę nieudowodnionych zeznań, a przenieście się ze mną myślą o mil kilka ztąd, do ślicznej okolicy Bonnieres, gdzie łąki są tak zielone, wody tak przejrzyste. Tam z po za gajów i zieleni wyłaniają się wieżyce zamku d'Albrays, szczyty pałacu des Marnes, a nieco w oddali, na pochyłości wzgórza, białe mury Mesnil'u. Po nad brzegiem rzeki przechadza się dwoje młodych, prawie dzieci jeszcze. Upojeni miłością snują rojenia rozkosznej przyszłości. Zatopieni w sobie, zajęci tkliwą rozmową, ani spostrzegli że słońce zaczyna pochylać się na horyzoncie, zapomnieli że rozstać się trzeba. Aż nagle ona zawołała: już tak późno, — muszę odejść!... On uchwycił jej dłonie okrywając je gorącemi pocałunkami, i dziewczyna znikła w oddali, przyrzekłszy pierwej że powróci jutro o tej samej godzinie.

On długo ścigał ją wzrokiem, uśmiechał się i od ust posełał pocałunki, a gdy znikła na zawrocie drogi, wsparłszy się o drzewo zaczął czytać list tegoż dnia odebrany od niej. Wzrok jego promieniał szczęściem—oto co stało w liście:

„Ukochany mój!

„Wczoraj byłeś tak smutny i dla tego piszę do ciebie zaklinając abyś nie poddawał się rozpaczy ani zniechęceniu. Rodzice twoi przeciwni są naszemu połączeniu, bo jestem uboga dziewczyna, a całem bogactwem jakie ci wniosę, jest bezgraniczna miłość moja dla ciebie... Ale miłość ta będzie tak wierną i zdolną do największych poświęceń, iż musi nareszcie wzruszyć ich i przełamać opór.

„Tak, ukochany mój, kocham cię od dawna, od owego dnia gdy tańczyliśmy z sobą owego pamiętnego wieczora, kocham tak bardzo iż niekiedy myśląc o tobie płaczę bez powodu. Gdy tylko wymieni ktoś twoje nazwisko, zdaje mi się że serce moje topnieje. O! gdyby rodzice twoi wiedzieli jak wielką jest miłość moja, nie odpychaliby tej co pragnie stać się dla nich najlepszą, najprzywiązańszą córką... Powiedziano im że jestem zalotną, że lubię się stroić—i obawiają się tego... Ah! gdyby mogli czytać w mojej duszy, przekonaliby się iż oddałabym wszelkie ozdoby i stroje za jedno twoje tak tkliwe i serdeczne słówko, że zgodziłabym się na największą nędzę, jeźlibym nie mogła inaczej zostać twoją żoną, jak zostając choćby żebraczką... Bądź spokojny, ufaj mi, ukochany mój! nigdy cię nie zapomnę ani nie opuszczę, nigdy nikogo nie kochałam prócz ciebie i do zgonu wierną ci pozostanę.

„Twoja.

„Maryanna.”

„Panowie! mógłbym przeczytać wam dziesięć podobnych listów, wyrażających równie tkliwe i czyste uczucia; zrozumielibyście wtenczas że Maryanna była szczerą mówiąc iż nie kochała nikogo zanim oddała serce Janowi Torquenié, i przysięgając że nie pokocha nigdy kogoś innego.

„I taką to kobietę przedstawiono wam jako lekkomyślną wietrznicę, zdolną, po roku gorąco upragnionego małżeństwa, zapomnieć o swych najświętszych obowiązkach.

„Słyszeliście zeznania świadków którzy mieli żal do leśniczego z powodu jego surowości, ale czemuż poprzestaliście tylko na nich? Inni powiedzieliby wam jaka wzruszająca zgoda panowała w domku leśniczego, jakiemi dowodami miłości Jan Torquenié otaczał żonę i córkę, jakie szczęście rozpromieniało ich twarze!

„Pan Rousseau czyta list od hrabiny Trémeillan, której Maryanna była mleczną siostrą.

„Hrabina wyraża się w nim że trudnoby znaleźć istotę lepszą, łagodniejszą, tkliwszą jak ona, i że śmierć Maryanny zasmuciła ją głęboko.

„Następnie obrońca oswiadcza że akt oskarżenia podaje mylnie iż rodzice Jana Torquenié dla tego nie chcieli zezwolić na małżeństwo syna z Maryanną, że ta miała już nie jednego wielbiciela, gdy tymczasem prawdziwym powodem ich niechęci było ubóstwo wybranki ich syna, i zgodzili się chętnie na ten związek, skoro tylko szczodrobliwość hrabiny de Trémeillan usunęła tę jedyną przeszkodę.

„Przystępuje nakoniec do głównego punktu oskarzenia, to jest do bytności wice-hrabiego de Mortrée w domku leśniczego, a następnie do częstych jego wycieczek w okolice pałacu.

„Panowie! rzekł, pozwólcie mi jeszcze przedstawić wam prawdę, która została dziwnie przekręconą tak w zeznaniach świadków, jak w akcie oskarżenia. Ta prawda mieści się w słowach wypowiedzianych tu przez obwinionego, które powtarzał często rozmawiając ze mną. Nigdy, nigdy, powtarzam, nie był zazdrosnym o żonę; pokładał w niej nieograniczone zaufanie, i nie śmiałby nigdy znieważyć jej nawet w myśli krzywdzącem podejrzeniem. Ale znał złośliwość ludzką, wiedział że ma nieprzyjaciół wśród tych których obowiązek kazał mu pociągać do odpowiedzialności, a nie chciał aby jakieś złośliwe posądzenie mogło naruszyć dobrą sławę kobiety którą tak uwielbiał. Dla tego to żądał aby Maryanna nie przyjmowała wice-hrabiego de Mortrée. Lecz ona, pewna swej uczciwości, śmiała się z jego obawy, i czuła się tak dalece wyższą nad wszelkie oszczerstwa, że ich się nie lękała. Jeźli, mówiła, wice-hrabia chce spacerować około pałacu, nie możemy zabronić mu tego, ani też dla zadowolnienia plotkarzy, krzywić się gdy do nas przyjdzie.” Były pomiędzy nimi z tego powodu małe sprzeczki, ale te kończyły się zawsze pocałunkiem.

„Stawiają przeciwko nam trzy zeznania. Człowieka który miał widzieć Jana Torquenié siedzącego przy drodze z ponurym i dzikim wyrazem twarzy, ale, panowie, mieliście przed chwilą sposobność przekonać się że ten człowiek jest pijakiem, może więc i wtenczas nie był trzeźwym. Jan Torquenié przyznaje że powiedział do Marty Alabrégue uderzając nogą w ziemię: „Chciałbym widzieć twego wice-hrabiego tam głęboko!” Ale wyrzekł te słowa zniecierpliwiony, chcąc zamknąć usta tej złośliwej

kobiecie, która ośmieliła się powtarzać mu oszczerstwa rozsiewane o nich w okolicy, i nie przywiązywał do tych słów innego znaczenia, jak tylko że pragnąłby uwolnić się od przykrości jakie ściągnęła na niego złośliwość kilku plotkarek.

„Nakoniec Piotr Desplas utrzymuje że słyszał jak leśniczy kłócąc się z żoną, zawołał: „Jeżli tak będzie dłużej, mogę dopuścić się czegoś strasznego.” Słyszeliście panowie w jaki sposób obwiniony tłomaczy te słowa: Uskarżał się na potwarze rozsiewane o nich i powiedział z boleścią: „Gdyby spotkało mnie podobne nieszczęście, nie pozostałbym długo na świecie; dopuściłbym się czegoś strasznego, to jest, dopuściłbym się samobójstwa.”

„Tak więc Jan Torquenié nie miał powodu być zazdrosnym o żonę. Maryanna kochała go, nie przestała nigdy być godną jego miłości, i on nie powątpiewał o tem ani na chwilę. Mogę więc twierdzić z wszelką pewnością że Jan Torquenié nie jest zabójcą wice-hrabiego de Mortrée. Kto jest jego mordercą? Wyśledzenie go i odkrycie tajemnicy osłaniającej tę sprawę, nie do mnie należy. To tylko według mnie nie ulega wątpliwości, że zbrodnia została popełnioną przez kogoś który chcąc odwrócić od siebie podejrzenie, starał się ściągnąć je na mego nieszczęśliwego klienta. Przypuszczam że wice-hrabia został zabity ze strzelby leśniczego, ale zapewniam że nie leśniczy go zastrzelił. Przyznaję że Maryanna została otrutą, ale jestem najsilniej przekonany że nie Torquenié ją otruł.

„Przyznał się, powiadacie! Ah! panowie, muszę tu dotknąć palącej kwestyi. Wyrażając moje przekonanie wywołam gorące protestacye, ale obowiązek nakazuje mi mówić, więc mówić będę.

„Panowie, nikt nie może więcej ode mnie szanować władzy sądowej. Oddaję należny hołd zdolnościom znakomitych ludzi, poświęcającym wszystkie siły swego umysłu, zapał ożywiający ich dusze, na usługi prawdy i sprawiedliwości,—ale jak wszystkie instytucye ludzkie, sądownictwo może mieć także swą słabą stronę. Główną wadą naszych instytucyj sądowych jest namiętność z jaką występuje często sędzia przeciwko człowiekowi stojącemu przed nim jako obwiniony o jakieś przestępstwo lub zbrodnię. Skoro tylko jakiś nieszczęśliwy siądzie naprzeciw niego między dwoma żandarmami, sędzis staje się jego wrogiem.

„Prezydujący. — Panie Rousseau, nie mogę na to pozwolić aby w tem miejscu wypowiadano podobne zdania. Znieważasz władzę dla której przed chwilą oświadczałeś się ze swem poszanowaniem, proszę pana abyś nie zwracał obrony na tak niewłaściwą drogę.

„P. Rousseau. — Panie prezesie, przewidywałem że moje słowa mogą nie trafiać do czyjegoś przekonania, ale nie spodziewałem się usłyszeć przestrogi naruszającej najświętsze prawa obrońcy. Jak tylko nie wolno mi przytaczać dowodów uniewinniających mego klienta, zrzekam się głosu, a sąd zechce wydać świadectwo że mi przerwano obronę, i że byłem zmuszony ustąpić z przed kratek.

,Pan Rousseau siada i nakrywa głowę; liczne grono kolegów otacza go z oznakami szczerego uznania.

„Prezydujący po krótkiej naradzie z sędziami. Panie Rousseau, zechciej wstać i kończyć obronę. Sądownictwo jest wyższem nad wszelkie przymówki i zniewagi.

„P. Rousseau. — Nie znieważam, ale przedstawiam rzeczywiste fakta; nie przymawiam, ale dowodzę. Wszystko co potrzebuję powiedzieć, powiem głośno, otwarcie, ponieważ mieści się w tem zbawienna prawda, do której udowodnienia ta właśnie sprawa posłużyć może. Zabieram powtórnie głos, ale zarazem oświadczam że pójdę prosto przed siebie, nie troszcząc się wcale iż mogę potrącić o jakieś przesądy.

„Panowie przysięgli, zwracam się do was przedewszystkiem. Skoro jakiś obwiniony zasiądzie przed wami na tej hańbiącej ławie, słuchacie aktu oskarżenia, zeznań świadków, obrony, a następnie wydajecie wyrok według waszego sumienia. Jeżli wam powiedzą że ten człowiek przyznał się do winy, potępiacie go bez namysłu, ze spokojnem sumieniem.

„Nie zadajecie sobie pytania jakie sceny poprzedziły rozwiązanie odgrywającego się przed wami dramatu. Nie wiecie co się działo od chwili aresztowania obwinionego, aż do tej w której stanął przed wami abyście wydali wyrok.

„Panowie, jesteśmy w połowie listopada, a ten nieszczęśliwy został wtrąconym do więzienia około połowy maja. Sześć miesięcy upłynęło od tego czasu; czy pojmujecie? sześć miesięcy więzienia prewencyjnego, w ciągu których nie miał jednego dnia spokojnego. Widać ze wszystkiego że sędzia-inkwirent—nie chcę wymieniać tu jego nazwiska—działał na mocy wyrobionego już z góry przekonania. Według niego Torquenié był winnym, a więc Torquenié powinien przyznać się do winy. Taki to był jedyny cel do którego dążył z energią, z zaciętością, której oddawano tu przed chwilą największe pochwały, ale której nie chcę nazwać właściwem mianem.

„Nie dość na tem, panowie, sędzia ten obchodził się z obwinionym z nieubłaganą surowością: dowiedziałem się że był sam u naczelnego dozorcy więzienia z żądaniem aby zmniejszono więźniowi ilość pożywienia, dla złamania jego energii. (Wrażenie.) Dręczył go i niepokoił codzień długiemi indagacyami, w ciągu których zadawał mu różne moralne katusze, a w końcu doszło do tego iż poddawał świadkom jak mają odpowiadać, aby tym sposobem otoczyć obwinionego siecią dowodów nie pozostawiających mu żadnego wyjścia.

„Jan Torquenié opierał się długo; przez cztery miesiące bronił siebie i pamięci Maryanny, zapewniał o swej niewinności; ale siły człowieka mają pewne granice. Torquenié znękany, osłabiony, prawie nieprzytomny, przygnębiony tylu moralnemi i fizycznemi cierpieniami, zażądał nakoniec pewnego dnia aby go zaprowadzono do sędziego-inkwirenta, który go uprzedził iż sprawa jego będzie sądzoną dopiero po ukończeniu śledztwa, to jest gdy się przyzna do popełnionych zbrodni. Nieszczęśliwy chciał już raz skończyć; długo walczył dla ocalenia swego życia, długo i wytrwale bronił dobrej sławy Maryanny, ale nakoniec wyczerpały się jego siły, upadł zupełnie na duchu. Wyrok, hańba, śmierć, nie przerażały go już wcale, czuł tylko że nie potrafi znieść dłużej podobnych katuszy, i w skutek takiego to usposobienia, odpowiadał *tak* na wszystkie pytania jakie podobało się zadawać sędziemu. Oto, panowie, w jaki sposób Torquenié przyznał się do spełnienia podwójnej zbrodni!”

„Ta część obrony pana Rousseau sprawiła dość silne wrażenie na publiczności, jednak oskarżenia, zwłaszcza ściągające się do jednego z najświatlejszych i najuczeńszych sędziów w Rennes, zdawały się tak przesadzone, że wiele osób, a nawet niektórzy obrońcy słuchali ich z uśmiechem powątpiewania. Widziano w nich rozpaczliwe i śmiałe usiłowanie ocelenia klienta.

„Obrońca kończy, zaklinając przysięgłych aby wyrzekli wyrok uniewinniający.

„Prezydujący streszcza debaty z wielką bezstronnością. Protestuje energicznie przeciwko dziwacznemu oskarżeniu jakiem obrońca zakończył obronę. Jeżli indagacya trwała długo, to jedynie dla tego że sprawa była ciemna, znakomity urzędnik któremu poruczono śledztwo, chciał wyjaśnić ją dokładnie. Dokonał tego, i jest to nędzny środek obrony, dowodzić że obwiniony był pozbawionym wolnej woli, że został zmuszonym do wyznań niecnemi środkami. Prezydujący, w imię honoru sądownictwa, zadaje fałsz podobnym twierdzeniom, i żałuje bardzo że znalazł się między obrońcami taki, co nie wahał się powtarzać potwarzy wylęgłych w mózgu zbrodniarza.

„Przysięgli wychodzą do sali obrad, a w godzinę później wracają ogłaszając wyrok uznający Jana Torquenié winnym podwójnego morderstwa, jednakże z dopuszczeniem okoliczności łagodzących. W skutek czego Torquenié zostaje skazanym na dwadzieścia lat ciężkich robót.

„Głuchy jęk wydobył się z piersi obwinionego gdy usłyszał ten wyrok, i upadł na ławę zemdlony.

„Pan Rousseau powstaje i woła silnym głosem:

„Panowie, potępiliście niewinnego!!!”

IX.

Zaledwie się rozwidniło gdy nazajutrz Armand d'Arçay wszedł do pokoju Andrzeja.

— I cóż! zawołał siadając na łóżku przyjaciela, czy przeczytałeś sprawozdanie z tej sprawy?

— Zaczekaj... zaczekaj trochę, niechno zbiorę myśli. A najprzód, gdzież ja jestem? o jakiej mówisz sprawie? Aha! przypominam sobie! Czy wiesz, dodał siadając na łóżku już rozbudzony zupełnie, że czytałem to z wielkiem zajęciem. Jest tam prezydujący który mi się wydaje strasznym niedołęgą, i zacny, poczciwy obrońca, którego rękę uścisnąłbym chętnie.

— Sądzisz o tem jako artysta, odpowiedział Armand nie mile tem dotknięty że przyjaciel wzrażał się w ten sposób o człowieku szanowanym i zajmującym tak ważne stanowisko w sądownictwie. Ale nie objawiłeś mi jeszcze twego zdania o tej sprawie. Wszakże, dodał z żywością, jest rzeczą widoczną że ten człowiek był winnym?

— Zapewnie dawno już czytałeś to sprawozdanie, rzekł Gérard nie odpowiadając na pytanie przyjaciela.

— Tak, czytałem je będąc jeszcze bardzo młodym. Nie miałem pewno więcej nad piętnaście lat.

— A więc przeczytaj je teraz powtórnie, mój drogi Armandzie.

Następnie dodał bardzo poważnym tonem:

— Armandzie, żądasz abym ci objawił moje zdanie, bo masz serce szlachetne, i nie chcesz zachować najlżejszej wątpliwości co do sprawy, w której nieszczęśliwy twój ojciec miał tak ważny udział. Otóż powiem ci że mało znaczący na pozór wypadek nasunął mi myśl ważną. Przeczytałem właśnie sprawozdanie, i zostawałem jeszcze pod wpływem wzruszenia jakie wywołało we mnie, gdy przerzucając machinalnie karty tej ogromnej księgi, zatrzymałem przypadkiem wzrok na sprawozdaniu zamieszczonem w numerze z 1850 roku, zawierającem opis strasznej choroby, której uległ twój ojciec; uderzyło mnie zbliżenie tych dwóch dat i tych dwóch wypadków... Czy pozwolisz, Armandzie, abym ci wypowiedział całą myśl moją?...

— Dokończ, rzekł smutnie młody adwokat, domyślam się co chcesz powiedzieć.

— Pan d'Arçay dostał obłąkania w 1850 r.,

rzekł Andrzej stłumionym głosem i z pewnem wahaniem, któż wie czy już w 1847 r. nie zostawał pod wpływem tej choroby trwającej do śmierci, czy nie ulegał już jakiemuś chorobliwemu rozdrażnieniu, jakiejś manii której ofiarą stał się nieszczęśliwy Torquenié?

— Taż sama myśl przyszła mi dziś w nocy, rzekł Armand opierając rozpaloną dłoń na ręce przyjaciela. O! nie potrafię wypowiedzieć jak mnie dręczy myśl podobna!...

Mówiąc to pochylił głowę z wyrazem głębokiego smutku.

— Żałuję teraz że wydaliłem tego człowieka, każę szukać go po całem mieście, wysłucham i zdobędę się na tę odwagę iż każę mu powtórzyć dosłownie całą indagacyę, której wszystkie, najdrobniejsze nawet szczegóły musiały wyryć się głęboko w jego pamięci.

— Nie ma go już w mieście, rzekł Andrzej Gérard, i opowiedział przyjacielowi całą scenę jakiej wczoraj był świadkiem.

Gdy przestał mówić, Armand siedział czas jakiś milczący i nieruchomy: znać było że stacza z sobą ciężką walkę. Następnie podniósł nagle głowę i zawołał:

— Jest tu w mieście ktoś mogący dostarczyć mi potrzebnych objaśnień. Pójdę do niego natychmiast.

Wyszedł szybko z pokoju bardzo wzruszony, a w kilka minut później pukał do drzwi małego domku, znajdującego się po drugiej stronie placu, w pobliżu gmachu sądowego.

Gdy mu otworzono, zapytał czy może się widzieć z panem Loiseau, a odebrawszy potwierdzającą odpowiedz, minął długi i ciemny korytarz, i wszedł do pokoiku którego okna wychodziły na wązką uliczkę.

Otwierając drzwi usłyszał hałas ogłuszający; na ścianie wisiały trzy wielkie klatki z kanarkami; okno było także zamienione na klatkę za pomocą gęstej kraty umieszczonej zewnątrz i wewnątrz, a w improwizowanej tej ptaszarni mieściło się wiele kanarków. Wszystkie te ptaki pobudzały się wzajemnie do śpiewania, a cienkie i przenikliwe tony wychodzące z ich gardziołków, świdrowały nielitościwie w uszach każdego kto trafił na ten koncert wokalny.

Na środku pokoju stał stół dębowy; przy nim siedział starzec czytający tak spokojnie, jakby nie słyszał wcale tego ogłuszającego wrzasku. Spostrzegłszy Armanda wstał, zdjął z głowy czapeczkę, a w całej jego postawie znać było zadziwienie, spowodowane tak niespodziewanemi odwiedzinami.

— Dawno już nie miałem przyjemności widzenia się z panem, panie Loiseau, rzekł Armand, siadając na krześle wskazanem przez starca.

— Uważam to za wielki dowód grzeczności, panie d'Arçay, że zechciałeś mnie odwiedzić. Nie wychodzę już z domu od dziesięciu lat, odkąd dotknęło mnie tak straszne nieszczęście... Moja biedna córka!... Moja biedna Bregida!... Ale widziałem cię często przez okno wychodzące na plac, widziałem cię wzrastającego, a gdy stałeś się już dorosłym mężczyzną, myślałem nie raz jakby się to cieszył twój biedny ojciec gdyby mógł widzieć cię teraz.

— Wiem że pan był szczerze przywiązany do mego ojca, odpowiedział wzruszony Armand.

— A! nie mogło być inaczej; ludzie pracujący razem przez długie lata, muszą w końcu przywiązać się do siebie. Szanowałem, czciłem twego zacnego ojca, panie Armandzie, on także zaszczycał swą życzliwością swego wiernego pisarza.

— Wszak, kochany panie Loiseau, zajmowałeś dość długo tę posadę?

— Piętnaście lat.

— I dopiero od dziesięciu lat opuściłeś służbę, panie Loiseau?

— Tak, wkrótce po śmierci mojej drogiej córki.

Kanarki podniecane dźwiękiem głosu rozmawiających, zaczęły świergotać tak przeraźliwie, że pan Loiseau musiał przykryć klatki czarnemi zasłonami.

— Przebacz, kochany panie d'Arçay, tym biednym ptaszynom, żyję tak samotnie że nie przywykły do głosu ludzkiego. Może to pana dziwi że się tak otoczyłem ptakami, ale, dodał wzruszonym głosem, moja ukochana córka prosiła mnie przed śmiercią abym się opiekował dwoma kanarkami które bardzo lubiła, dla tego też tak starannie pielęgnowałem, tak ich ulubieńców jak jej potomstwo, że dziś posiadam blizko dwieście tych ptaszków. Są wprawdzie trochę hałaśliwe, ale wyobrażam sobie że moja dziecina słyszy ich śpiewy, i nie użalam się nigdy na to że świergoczą tak głośno.

Armand nie przerywał tych wspomnień, ale rozmyślał przez ten czas jakim sposobem mógłby zwrócić rozmowę na zajmujący go przedmiot, tak aby starzec nie domyślił się dla czego zadaje mu te pytania.

Mało znaczący na pozór wypadek, wybawił go z kłopotu.

Za oknem zamienionem na klatkę, ukazała się głowa młodej dziewczyny z czarnemi włosami, która wyciągnęła rękę żądając jałmużny.

— Więc policya nie uwolni nigdy miasta od tej próżniaczki, szepnął były pisarz rzucając na młodą żebraczkę pełne gniewu spojrzenie. Wyciągać rękę po jałmużnę w tak młodym wieku, to rzecz oburzająca. Ma przecie w ręku rzemiosło, jest robotnicą w fabryce Breton, ale woli włóczyć się po ulicach, niż zapracować na kawałek chleba.

— Cóż to za dziewczyna? zapytał Armand.

— Córka zbrodniarza nazwiskiem Torquenié, odpowiedział pogardliwie były pisarz; ojciec pana przyczynił się głównie do tego że ten nędznik został skazany na galery. Ta sprawa narobiła wiele wrzawy w swoim czasie.

— Wszak było to na rok przed chorobą mego ojca? zapytał Armand starając się ukryć wzruszenie.

Żebraczka widząc że nie otwierają okna, poszła dalej wolnym i ociężałym krokiem.

— Nie, mniej więcej na trzy lata, odpowiedział były pisarz. Ale już i wtenczas nie był zupełnie zdrów.

— A! zawołał Armand, i serce jego silniej bić zaczęło.

— Tak, pracował zbyt wiele i zbyt gorliwie, i to go zabiło. Ta sprawa także kosztowała go wiele; miał do czynienia z przebiegłym hultajem, który żadną miarą nie chciał się przyznać do winy. Niekiedy, podczas indagacyi, twarz pana d'Arçay była tak czerwoną jakby miał dostać apopleksyi... Przypominam sobie że pewnego dnia—nie zwróciłem na to uwagi w pierwszej chwili, i dopiero później zastanowiłem się nad tem,—otóż pewnego dnia gdy prowadził właśnie indagacyę, zerwał się nagle ze swego miejsca, pobiegł do kominka i uchwyciwszy stojący na nim zegar, wyniósł go na balkon, i zawołał: Ta maszyna hałasuje tak strasznie, że o mało mi głowa nie pęknie!

Innego znów dnia, pobiegł po swe sędziowskie ubranie, i kładąc je na siebie rzekł do mnie: Nie przyznaje się bo nie wie kto jestem, ale jak mnie zobaczy w tym ubiorze, zlęknie się i powie wszystko.

Roześmiałem się myśląc że żartuje, ale gdy następnie rozwinęła się ta straszna choroba, przyszło mi na myśl że biedak już od dawnego czasu miewał dziwaczne pomysły.

Opowiadanie starca sprawiło na Armandzie nader bolesne i przygnębiające wrażenie. Zmienił przedmiot rozmowy, mówił z byłym pisarzem o jego ptaszkach i kwiatkach które pielęgnował w ogródku, a gdy go pożegnał, pan Loiseau nie domyślał się bynajmniej, czemu ma przypisać odwiedziny syna byłego sędziego.

X.

Powróciwszy do domu, Armand zastał już wszystkich w sali jadalnej. Małgorzata zbliżyła się zaraz do niego i rzekła przychylając czoło do ust jego:

— Spodziewam się że dziś będziesz już wesołym jak zwykle, że nie zobaczę na twej twarzy tej chmurki smutku, która tak zaniepokoiła mnie wczoraj.

Pani d'Arçay miała dziś drugiego jeszcze gościa; był nim hrabia de Trémeillan, który przyjechał po córkę.

Andrzej Gérard przypomniał sobie zaraz tę twarz zimną i surową, którą widywał będąc jeszcze dzieckiem. Cera jej była zawsze równie blada, rysy delikatne, arystokratyczne, oczy przygasłe, usta zaciśnięte. Młody malarz przypatrując się hrabiemu pomyślał, że upłynione lata nie pozostawiły prawie śladu na tej jakby z bronzu wykutej twarzy, tylko blond włosy wydawały się jakby trochę spłowiałe. Może spokojne życie jakie hrabia prowadził już od lat tylu, wpłynęło na to że zmienił się tak mało, a może też wzruszenia młodości i namiętności polityczne już tak wcześnie zrobiły z niego starca, że zestarzawszy się przed czasem, już przez długie lata zakonserwował się w tym stanie.

Zaraz po śniadaniu odjechał z córką. Narzeczeni pożegnali się pełnym czułości uśmiechem, i Armand przyrzekł Małgorzacie że nazajutrz przyjedzie na obiad do pałacu d'Albrays.

— Wiesz co, rzekł Gérard do przyjaciela gdy przechadzali się po ogrodzie paląc cygara, trudno powiedzieć aby twój przyszły teść był miły i sympatyczny.

— Hrabia odznacza się charakterem zimnym i surowym.

— Łatwo to poznać; wygląda jakby ulepiony ze śniegu.

— Jest to człowiek z bardzo surowemi zasadami; ale pomimo swej lodowatej powierzchowności, miał w życiu chwile w których okazał się zdolnym do największych uniesień. Był w Wandei, i walczył tam w sprawie księżnej Berry. Kazał sobie zrobić zupełnie takie ubranie jakie nosił de la Rochejacquelen; to też ówcześni niebiescy, czyli piechota Ludwika Filipa, schwytała go wkrótce. Nie chciał się przebrać gdy go do tego namawiano chcąc mu ułatwić ucieczkę; uważał że śmierć na gilotynie przynosi największą chwałę, i marzył o niej, ale potrzymano go tylko kilka miesięcy w więzieniu i uwolniono.

— Biedny człowiek! Widać to z wyrazu jego twarzy iż dotąd jeszcze nie może się pocieszyć że nie spełniono jego marzeń i pozostawiono mu głowę na karku.

— Nie żartuj, kochany Andrzeju; jest jeszcze inna, ważniejsza przyczyna smutku malującego się

na twarzy pana de Trémeillan; poniósł, kilkanaście lat temu, bardzo bolesną stratę: stratę żony którą ubóstwiał prawie i która była najpiękniejszą i najcnotliwszą istotą w świecie. To niepowetowane a tak straszne nieszczęście, wyryło na jego twarzy niezatarte ślady.

Nazajutrz, pani d'Arçay i Armand pojechali na obiad do pałacu d'Albrays, leżącego dwie mile od Rennes, w prawdziwie malowniczej okolicy.

Jakkolwiek Armand myślał w tej chwili wyłącznie o Małgorzacie, drgnął pomimowolnie gdy powóz przejeżdżał koło małego domku pokrytego bluszczem i otoczonego topolami. Był to domek leśniczego.

Tam to, dwadzieścia lat temu, odgrywały się straszne sceny tajemniczego dramatu, który nie pokoił go już od trzech dni. Wskazał nieznacznie Andrzejowi domek ten, na pozór tak cichy i miły, jakby nie były do niego przywiązane przerażające i bolesne wspomnienia.

W kilka minut później wysiadali już z powozu przed pałacem. Małgorzata prawie piękniejsza jeszcze jak zwykle, w amazonce uwydatniającej śliczną jej kibić, wyszła na ich spotkanie, rozpromieniona szczęściem.

— Dopiero co zsiadłam z konia, rzekła, przepraszam więc że muszę oddalić się na chwilę, ale wrócę za kilka minut.

Hrabia de Trémaillan ukazał się na peronie i podał rękę pani d'Arçay. Małgorzata pozostawiła go więc z gośćmi i pobiegła zmienić ubranie.

Młoda czarodziejka powiedziała prawdę; w kilka minut później weszła do salonu w lekkiej i świeżej sukni muślinowej w deseń Pompadour.

Prócz pani d'Arçay, Armanda i Andrzeja Gérard, znajdowało się w salonie kilku sąsiadów hrabiego, oraz sędziwy proboszcz z Bonnières, który oczekując na obiad grał w triktraka z panem de Rigny, obecnym właścicielem pałacu de Marnes.

Małgorzata stała w oknie obok Armanda, przed oczami ich roztaczał się uroczy krajobraz, oblany promieniami zachodzącego słońca. Okno było otwarte, wietrzyk przynosił z ogrodu woń jasminu i rezedy. Szczęśliwi, pogrążeni w rozkosznem marzeniu, zapomnieli o ziemi, byli w niebie.

Kochali się tak bardzo i od tak dawnego czasu! Przypominali sobie zawsze z rozczuleniem chwilę, w której po raz pierwszy spotkali się z sobą.

Było to w jednej z tych miejscowości tak często napotykanych w Bretanii, które wyglądają jak gniazdko usłane z mchu i liści, ożywione śpiewem ptaków i szmerem strumienia przysłoniętego trawą.

Armand miał wtenczas ośmnaście lat. Słabowity w dziecinnym wieku, wyrosł na młodzieńca wysokiego wzrostu, wątłego, z cerą bladą i ognistemi oczyma. Doktorzy kazali mu używać dużo ruchu, i pani d'Arçay wymagała aby jeździł konno, fechtował się i polował. Ale Armand idąc na polowanie, zabierał z sobą książkę, siadał pod jakiemś rozłożystem drzewem, wyjmował książkę z myśliwskiej torby, kładł przy sobie strzelbę, a potem czytał i marzył aż do wieczora.

Otóż kiedy polował w ten sposób w poetycznym wąwozie, usłyszał nagle za sobą rżenie konia. Odwrócił się i spostrzegł młodziuchną, zaledwie piętnastoletnią panienkę, jadącą na małym siwym poneyu. Ponieważ Armand siedział na kępie murawy znajdującej się na środku drogi, amazonka nie mogła przejechać nie poruszając go z miejsca.

Armand wstał, podniósł strzelbę zagradzającą drogę, i ukłonił się młodej panience, która wtedy zatrzymała konia.

— Przepraszam pana, która godzina? zapytała bez najlżejszego zakłopotania.

— Czwarta, odpowiedział Armand, spojrzawszy na zegarek.

— Nie potrzebuję się więc śpieszyć do domu, mam jeszcze dwie godziny wolnego czasu, odpowiedziała Małgorzata de Trémeillan. Toby zmęczył się, ja także, dodała, odrzucając czarne wijące się włosy które wiatr nasunął jej na czoło. Tak tu przyjemnie i chłodno że zatrzymam się i odpocznę chwilkę. Pan pozwoli?

Mówiąc to podała mu cugle bez ceremonii, i zeskoczyła lekko z konia.

— Pan wyszedł na polowanie? zapytała siadając przy Armandzie na murawie, a jednocześnie spojrzawszy na próżną myśliwską torbę leżącą pod drzewem, dodała z trochę złośliwym uśmiechem: i wraca pan z próżnemi rękami.

Przyszło jej na myśl że może obraziła młodego myśliwca, odezwała się więc znowu:

— W tej stronie trudno znaleźć zwierzynę; niech pan na drugi raz uda się w stronę gdzie dopiero co zebrano grykę, znajdzie pan tam mnóstwo kuropatw. Bardzo lubię polowanie. Ojciec kupił mi w tym roku śliczną, małą fuzyjkę, i codzień rano leśniczy uczy mnie strzelać w parku. Zabiłam już dwa króliki.

Mówiąc to spojrzała z wyrazem tryumfu na swego towarzysza.

Zawiązała się rozmowa. Armand wyznał że nie miał upodobania w rozrywkach wymagających gwałtownego ruchu. Zapytała go czem się zajmuje, kim jest, a gdy oznajmił że sposobi się na prawnika i zamierza zostać adwokatem, rzekła ze znaczącą minką:

— Co do mnie, gdybym była mężczyzną, zostałabym żołnierzem.

Skoro powiedział jej swoje nazwisko, zawołała klasnąwszy z radością w ręce.

— A więc pan jest naszym sąsiadem! Park d'Albrays graniczy z parkiem du Mesnil, i parę tygodni temu o mało że tam nie weszłam. W odgraniczającem murze jest szczerba przez którą lis przeskoczył, chciałam ścigać tam za nim, ale powstrzymał mnie leśniczy mówiąc: że mógłby mi pan o to wytoczyć proces.

Armand zapewnił ją że będzie bardzo szczęśliwy jeśli zechce polować w jego parku.

— Ojciec mój żyje tak samotnie, że nudzę się często; chciałabym też bardzo aby pan zaczął bywać u nas. Postarałabym się o to abyś polubił konną jazdę i polowanie. Mógłby pan jeździć na moim Toby, który jest bardzo łagodny, ja zaś na karej klaczy.

Powiedziała to z minką protekcyjną, z którą było jej bardzo do twarzy.

Rozmawiali jeszcze czas jakiś, a gdy Małgorzata odjechała spostrzegłszy że już czas wracać do domu, Armand doznał jakiegoś dziwnego uczucia, zdawało mu się że to dziewczę uniosło z sobą jakąś cząstkę jego istoty.

Zobaczyli się wkrótce, gdyż pani d'Arçay ulegając prośbom syna, oddała wizytę swemu sąsiadowi, hrabiemu de Trémeillan. Armand powiedział jej że w Albrays znajduje się piękna biblioteka z której pragnie korzystać, i nie chciała opierać się jego życzeniu, pomimo że nie bywała nigdzie, odkąd rozwinęła się straszna choroba jej męża.

Odtąd Armand i Małgorzata widywali się codzień, i te przyjazne stosunki były dla nich źródłem niewysłowionego szczęścia. Charaktery ich zupełnie odmienne, zgadzały się jednak wybornie z sobą.

Hrabia de Trémeillan, który od śmierci żony zdawał się ciągle pogrążony w głębokiem zamyśleniu, nie zajmował się wcale córką, która rozwijała się też swobodnie i samodzielnie.

Była to natura szczera, szlachetna, nieświadoma złego, a zatem pobłażliwa i dobra, a tkliwe jej serce zdolne było czuć i kochać serdecznie i głęboko.

Cierpiała trochę nad swem osamotnieniem, matka odumarła ją w kilka miesięcy po urodzeniu; ojciec onieśmielał, i prawie odstraszał ją swą zimną i surową postawą.

Po zupełnem rozchwianiu się jego politycznych nadziei i po śmierci żony, hrabia de Trémeillan wpadł w jakiś rodzaj czarnej melancholii, był ponury i milczący, tak więc towarzystwo jego musiało być bardzo smutnem i niewystarczającem dla dziewczęcia posiadającego duszę zdolną do uniesień, serce pragnące kochać i być kochanem.

Miłość Armanda dała jej to czego ojciec dać nie chciał lub nie mógł, i wynagrodziła sowicie za tę lodowatą i niepojętą obojętność którą hrabia okazywał jej od lat dziecinnych.

Pani d'Arçay spostrzegła prędko skłonność syna dla ślicznej sąsiadki, lecz kochając bardzo Armanda i oceniając przymioty Małgorzaty, nie miała siły sprzeciwiać się temu uczuciu.

Armand bywał codzień w d'Albrays pod pozorem korzystania z biblioteki, zajmującej całe skrzydło pałacu, rzeczywiście zaś większą część czasu przepędzał w parku z Małgorzatą. Pan de Trémeillan nie troszczył się wcale o to gdzie jest i co robi jego córka, ale szczęściem zostawała pod strażą najczystszej miłości, strzegącej ją lepiej od najsurowszych opiekunów i opiekunek.

Kochali się nie zdając sobie nawet sprawy z łączącego ich uczucia, i dopiero dłuższe rozłączenie otworzyło im oczy. Armand kończąc lat dwadzieścia, zachorował niebezpiecznie, i choroba przeciągnęła się długo. Gdy dzień po dniu upływał a Małgorzata nie widziała go wcale, gdy nie słyszała niecierpliwych jego kroków zbliżających się do pałacu, gdy błąkała się po cienistych ulicach parku bez towarzysza z którym zamieniała swe myśli tak miło, tak swobodnie, gdy przejmował ją bolesny niepokój na myśl że on tam cierpiał zdala od niej, że walczył z chorobą zagrażającą jego życiu,—wtenczas zrozumiała że obecność Armanda stała się nieodzownym warunkiem jej szczęścia, że pokochała go wszystkiemi siłami swej duszy, i że gdyby jej go śmierć wydarła, nie potrafiłaby go przeżyć długo.

On o niej tylko myślał, i o niej mówił w gorączce, przywoływał jej wyciągając ręce, pragnął widzieć przy sobie, i równie cierpiał z powodu choroby jak z powodu jej nieobecności.

Małgorzata odgadła co się działo w duszy jej przyjaciela, i gdy nie mogła być przy nim, chciała przynajmniej aby mógł patrzyć na jej obraz. Przesłała pani d'Arçay swój portret malowany dwa lata temu, i dobra ta matka, pojmując co przyczynia najwięcej cierpienia synowi, zawiesiła portret nad jego łóżkiem, tak, aby mógł patrzeć ciągle na śliczne, tak drogie mu rysy, i na te oczy zdające się uśmiechać do niego.

(D. c. n.)